

# TYGODNIK



## ILLUSTROWANY

**N<sup>o</sup> 28.**      Prenumerata w Warszawie      Warszawa, 8 lipca 1876 r.      Prenumerata      Tom II.  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,      na prowincyi i w cesarstwie  
miesięcznie kop. 67 i pół.      kwartalnie rs. 3.

**Treść numeru.** Rozmarzona (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Przegląd muzyczny. — Przegląd polityczny. — Starość i młodość (2 drzeworyty). — Teodor Tomasz Jeż (dokończenie). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Już po kuligu (wiersz). — Listy z wystawy filadelfijskiej (z 2 drzeworytami). — Szachy. — Rebus. — Kronika paryzka. — Na rozdrozu, powieść (dalszy ciąg). — Ludwika królowa pruska (dalszy ciąg). — Wiliam Herschel (dalszy ciąg). — Biblioteka Donkiszota (dokończenie). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

### Kronika tygodniowa.

#### K r a j o w a.

Tydzień ubiegły był epoką utrapień dla młodzieży, ale zarazem i szczęśliwym tygodniem, niosącym jęj medale, nagrody, listy pochwalne, a co większa, radosne lzy matek, powściągliwe choć serdeczne słowo uznania ojców i uwielbiające spojrzenia młodszego rodzeństwa.

Szczęśliwe to chwile, najszczęśliwsze niezawodnie w życiu, które nie bywa wcale wiązaną kwieciami, splotem słodkich marzeń i radosnych uniesień. Twardo się ono wlece po grudzie rozczarowania, troski, kłopotów i nieraz, na garstce popiołów wytłonych przez długich lat szeregi, świeci brylantem wspomnienie tych chwil błogich, które się przepędziło w szkole. Po za tém wspomnieniem cisza, próżnia...

Tak bywa często.

Z całej falangi popisów i aktów uroczystych wspominamy tu nadewszystko rozrzucający popis uczniów i uczenie Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Corok uroczystość ta szkolna świadczy wymownie o rozwoju szkoły, o zdobywaniu przez nią, acz z niezmiernym trudem, coraz nowych środków działania, coraz nowych nabytków do świadczenia. I przyszło już do tego, że na drodze ciągłego a prawidłowego rozwoju szkoła ta stała się wzorową i że nawet cudzoziemscy pedagogowie, pisujący szerokie traktaty teoretyczne, w praktyce wielu rzeczy, obcych sobie, od Instytutu tutejszego nauczyćby się mogli.

W szczegółowy opis uroczystości szkolnej wdawać się nie będziemy, bo bywa ona corocznie jednaka i różni się tylko drobnymi napozór szczegółami, owemi właśnie nabytkami, które tak zaszczytnie a tak pożytecznie bogacą szkołę. Natomiast raz jeszcze przypominamy, że Instytut, jakkolwiek wzorowy, nie wystarcza na potrzeby kraju; że należy koniecznie zakładać nowe szkoły dla głuchoniemych i ociemniałych, i że posiada-



Rozmarzona. Kopia obrazu Aubert'a.

39092





jąc tak piękny wzór, moglibyśmy istotnie szkoły te uczynić nietylko pożytecznymi, o co chodzi przedewszystkiem, ale i wzorowymi.

Interesującym był także popis uczniów i uczenie konserwatorium, który się odbył zeszłej soboty. Najlepiej przedstawiła się klasa fortepianu p. Strobła, najslabiej klasa śpiewu solowego, w której ani pięknych głosów, ani wybitnych talentów do zbytku widocznie niema. Nie trzeba jednak tego klasę na karb nauczyciela, bo czego poskąpiła sama natura, tego nauka w żaden sposób nie zastąpi.

Wbrew zwyczajowi, uswięconemu przez popisy lat dawniejszych, nie słyszeliśmy tym razem gry na skrzypcach. Czy to ma źle świadczyć o klasie tego instrumentu, pod względem zdolności, czy też nie posiada ona uczniów, z którymi wartoby się było popisować—powiedzieć nie umiemy; wyznajemy jednak iż brak ten niemiłe na nas sprawił wrażenie. Klasa skrzypców dawniej bywała prowadzona najświetniej, dawała rezultaty najpomysłniejsze i przyzwyczała nas do tego... Cóż się z nią dzieje dzisiaj?...

Patentów z zupełnego ukończenia nauki Instytut rozdał w bieżącym roku czternaście.

Popis, o którym mowa, odbył się w małej stonkowo-sali szkolnej, w której słuchacze obrócić się nie mogli, a głos śpiewaczek i śpiewaków tłumila cisza sproszonej, choć doprawdy nielicznych gości. Taki brak miejsca musi się dotkliwie dawać uczuć Instytutowi, który posiada chóry i orkiestrę ze stu kilkudziesięciu osób i prób z niemi nie ma gdzie odbywać. W samym gmachu miejsca obszerniejszego znaleźć niepodobna, chociaż posiada on go bardzo dużo w ogrodzie. Kiedyś może na miejscu tego ogrodu stanie jaka sala koncertowa, wygodna i obszerna, a tym dogodniejsza, że i odpowiedni zajazd dałby się przed nią urządzić. Gdyby Instytut znalazł fundusze na tę budowę, stokrotnieby mu się opłaciły w przyszłości, bo sala mogłaby być wynajmowana na koncerty, odczyty i t. p., za opłatą.

W świecie dziennikarskim z dniem pierwszym lipca pozachodziły rozmaite zmiany. Gazeta Polska powiększyła swe rozmiary, i tak już dosyć poważne; *Wiek* obiecuje wydawać w niedziele i święta płatny dodatek, p. t. „*Nowiny niedzielne*“, który ma sam w sobie stanowić odrębną całość, zaspokajając potrzebę wiadomości, nieustającą nawet i w dnie spoczynku. Przegląd tygodniowy uderzył w polityczne surmy, które odrazu zagrały bojowem echem. A oto Antrakt zapowiadany wyszedł już w kilku numerach, pisanych lekko, choć niezawsze dowcipnie. I jeszcze nie koniec na tem: pisma codzienne doniosły, że p. Józef Nałmowski dostał koncesyę na „*Gonca teatralnego*“, co wroży walkę z Antraktem. Wreszcie Opiekun domowy zmienia podobno format i przybiera tytuł „*Tygodnik powszechny*“.

Dziennikarstwo rusza się, konkuruje o lepsze zacięcie i pragnie zwyciężyć... w walce o byt. Nie jest to rzecz łatwa takie zwycięstwo, gdy w szeregach walczących piórem nie przybywa nikt prawie i zawsze ci sami stają do rozprawy. Interesa tedy krzyżują się, płaczą, a konkurencya staje na gruncie trochę nienaturalnym.

Dlatego też z tych zmian, zewnętrznych tylko, i z drobnych nabytków, przeciwko którym pojawiają się zaraz inne (Antrakt i *Goniec teatralny*) nie wroźmy dla dziennikarstwa wielkich korzyści. Korzyści byłyby wtedy, gdyby do nowej formy wstępował duch nowy, świeże siły, lepsze, dzielniejsze, albo choć bardziej pociągające.

Niezbyt szczęśliwe, choć w ostatnich czasach zasłużone „*Ognisko domowe*“ zmienia wydawcę i redakcyę. Starannie prowadzone, redagowane umiejętnie, pismo to, wymagające zbyt wielkich nakładów względnie do niskiej ceny, nie zdoła już chyba sięgnąć wyżej i stać się czemś więcej, niż było dotąd. Może zresztą wysiłki nowego wydawcy (p. Mieczynskiego) dopną tego... niepodobien-

stwa, ale wątpimy, bo „*Ognisko*“, jeżeli potrzebowalo czegoś jeszcze, prócz tego co samo dawało swoim prenumeratom, to chyba tylko gorętszego poparcia ze strony publiczności. Ale... *habent sua fata... acta diurna*.

Zeszłego poniedziałku na scenie teatru letniego debiutowali w „*Pożytywnych*“ pani Zalewska i pan Stromfeld. Debiutantka grała rolę Julii, debiutant Adama Choryńskiego.

Trzeba wam jednak wiedzieć, łaskawi czytelnicy, że to nie jedyne pierwsze występy w tym tygodniu. Oto we środę ukazała się po raz pierwszy na scenie warszawskiej w „*Grzéspkach babuni*“ pani Zimajerowa, a na dziś solennie zapowiedziano pierwszy debiut tak niecierpliwie oczekiwanej panny Deryng.

Poniedziałkowi debiutanci... pogodzili nas z debiutami; p. Zalewska i p. Stromfeld dali dowody istotnego talentu, zrozumienia roli, sztuki i sceny, a warunki ich zewnętrzne godzą się z jej wymaganiami zupełnie. Nie pisząc sprawozdania teatralnego, lecz tylko wzmiankę kronikarską, nie mamy tutaj potrzeby i obowiązku rozbiierać szczegółowo ich gry; notujemy więc tylko sympatyczne przyjęcie ze strony publiki i prasy. Debiutanci zyskali sobie poklask i przychylny wroźby, a są to trofea debiutowe bardzo zaszczytne.

Pan Jan Jeleński, znany pisarz na polu pracy ekonomiczno-społecznej, odniósł się do nas z prośbą o poparcie publiczne następującego życzenia.

Przygotowuje on obecnie do druku obszerną rozprawę p. t. „*Gdzie praca dla kobiet naszych*“, i w tym celu potrzebne mu są wiadomości o wszystkich warstwach, zakładach, fabrykach, kantorach i t. p., w których kobiety znajdują pracę lub znaleźćby mogły, albo na czele których stoją. Idzie tu o zebranie jaknajszczegółowszych wiadomości o *nowych* sposobach zarobkowania dla kobiet, i o te wiadomości p. Jeleński uprasza wszystkich, którzy doniosłość ich pożytku rozumieją.

Z poparciem serdecznem jego żądania jaknajchętniej pośpieszamy. Kwestya pracy i zarobku dla kobiet, tej jedynej drogi do ich wyzwolenia od smutnej bierności, da się rozwiązać tylko w sposób praktyczny, do czego właśnie wyżej wspomniane wiadomości są niezbędne. Kto ma działać napewno, powinien wiedzieć jak, gdzie i kiedy działać. Wszelkie próby na ślepo, bez jasno wytkniętych ścieżek, marnują tylko siły i czas, a rzadko bardzo do pożądanego doprowadzają celu.

Dlatego też żądanie p. Jeleńskiego uważamy za rozumne i słuszne: w sprawie społecznej odnosi się on do społeczeństwa i żąda od niego współdziałania i pomocy. Pomoc ta łatwo przyjsć mu powinna. Wiadomości żądane zebrać i przysłać pod adresem p. Jeleńskiego (Warszawa, Nowy Świat, 4, w lokalu redakcyi „*Niwy*“) to rzecz nietrudna wcale, a szczególnie przystępna dla tych, co stosunki z warsztatami, zakładami i fabrykami wzmiankowanymi wyżej posiadają. Więcej tu potrzeba dobrej woli, niż zachodu.

Jako przykład zacnego i zdrowego pojmowania obowiązków społecznych, przytaczamy tu wyjątek z testamentu starozakonnego Cala Weinszteina, kupca gildyjnego, zmarłego niedawno w Winnicy (gub. podolska), nadesłany nam przez miejscowego korespondenta, który za wiarygodność dokumentu poręcza.

„W imię Wszchemogącego Boga Izraela Amen. Dnia 12 lutego 1875 roku.—Ja, niżej podpisany, zbliżając się do końca żywota, zdrów na ciełe i umyśle, uważam za święty swój obowiązek rozrachować się ze społeczeństwem wśród którego żyłem, zanim Bóg powoła mnie do rachunku ostatecznego, przed Swę święte oblicze.

„Błogosławić On raczył ciężkiej pracy mojej. Urodzony z bardzo ubogich rodziców, w największym też ubóstwie żyć i pracować zacząłem. Za-

zadanie życia postawiłem sobie uczciwą a nieustającą pracę, wytrwałą, czujną, przezorną i skrzętną. I schodzę ze świata przekonany, że nad nią było błogosławieństwo Boże; bo dziś mam możność zostawienia choć małej pomocy moim krewnym, przyjaciolom i społeczeństwu, wśród którego to, czem rozporządzam, zebrałem.

„W jednowiercach moich, którzy mi są najbliżsi, chciałbym utwierdzić to przekonanie, że tylko uczciwój a oględnej pracy Bóg powodzeniem błogosławi. Z żoną moją Sarą przeżywszy prawie pół wieku, doświadczyłem jej małżeńskij wierności, bezgranicznego do mnie przywiązania, zacności, skrzętności i pracowitości, któremi pomagała mi i zbierać, i oszczędzać, i zachowywać. Bóg nam nie dał potomstwa, któreby po mojej śmierci starość jej i zwątłone zdrowie pielęgnowało. Chcę dni jej resztę zabezpieczyć od niedostatku. Chcę też i innym osobom, krwią lub stonkami życia zbliżonym do nas, zostawić udział z mego majątku.“

Dotąd dosłowne prawie tłumaczenie z oryginału. Dalej idą cyfry, a w tych, jak się wyraża korespondent „leży cały sens moralny faktu, którym i nam chrześcianom, ku uczczeniu zacnej pamięci Izraelity, współrodaka naszego, wolno się podzielić.“

Pozostałość cała w nieruchomościach, gotowiznie, akcyach i t. p. wynosi rs. 112,043. Z tych, oprócz zapisów dla żony, dwojga przybranych dzieci, oraz sług i ubogich różnych wyznań, testator przeznaczył: na zakłady naukowe publiczne, istniejące lub istnieć mające w Winnicy, tudzież na stypendya dla niezamożnych gimnazystów i studentów wszelkich wyznań rs. 40,750; na szpital miejscowy rs. 7,500; na zapomogę pobranym do wojska Izraelitom rs. 10,000.

Wykonawcami testamentu zmarły mianował pięciu znaczniejszych mieszkańców miasta Winnicy, to jest trzech Izraelitów i dwóch chrześcian.

Treść i motywa tego rozporządzenia tak są wymowne, że podając je do wiadomości publicznej, ku ogólnemu zbudowaniu, od wszelkich uwag dalszych powstrzymać się możemy.

Bawiący chwilowo między nami sędziwy *Karol Forster*, z okazji 50-cioletniej rocznicy działalności swój pisarskiej, oprócz telegramów od koła poselskiego i studentów uniwersytetu w Berlinie, otrzymał jeszcze od tamecznego Towarzystwa przemysłowców polskich pismo następujące:

„Towarzystwo przemysłowców polskich w Berlinie z entuzjazmem i czcią powitało 50-letnią rocznicę pracy w. pana na polu literackim.

„Chcąc w dniu tak ważnym choć słabydać wyraz uczuciom wdzięczności dla w. pana za wielkie jego dobrodziejstwa, mianowicie zaś za nieocenioną „*Bibliotekę nauk moralnych i ekonomiczno-społecznych*“, za owe pouczające książeczki dla klas pracujących, za „*Teke historyczną*“, wreszcie za zdrowe rady, które złotemi powinny się drukować czcionkami—to jedno w panu składam życzenie: by dobry Bóg dozwolił mu dopiąć zamierzonego celu.

Racz przyjąć i t. d.

*Celestyn Leski*, prezes.

Zakład sierot imienia Stanisława Jachowicza, mieszczący się obecnie w zabudowaniach podominikańskich przy ulicy Freta, jest istotnie zakładem prowadzonym wzorowo, o czem mogliśmy się przekonać zeszłego wtorku, na popisie jego wychowanców. Jest ich tam 149, pomiędzy którymi znajdują się i dzieci prawie paroletnie, a wszystkie wyglądają czerstwo i zdrowo, twarzyczki mają wesole i uśmiechnięte, co przemawia na korzyść systemu wychowawczego, stosowanego w zakładzie.

Oprócz nauk elementarnych, chłopcy uprawiają rzemiosła, a niektórzy z nich, okazujący rzeczywiste zdolności, nawet sztuki piękne. Znalazło się nadto kilku tak chętnych do nauki, że zarząd zakładu postanowił oddać ich do szkół, czego też,



przy chętniej pomocy osób dobroczynnych, dokonał.

Z 744 wychowanców zakładu, którymi się on opiekował od chwili swego założenia, 411 poświęciło się rzemiosłom. Ponieważ wychowanie ich było moralne, wykształcenie fachowe gruntowne i sumienne—znajdowali zawsze chętnych majstrów, którzy się o nich ubiegali. Tym sposobem zakład przysporzył społeczeństwu wielu użytecznych ludzi.

Szkoda tylko że jest on jedynym u nas, że sam potrzebom nagłym wydatków nie może. A przecież trudno zaprzeczyć, że zakłady podobne, pootwierane we wszystkich większych miastach kraju, oddałyby mu znakomite usługi.

## Przegląd muzyczny.

Z nastaniem cieplejszej pory i dłuższych dni, zakończył się sezon koncertowy, a amatorom muzyki pozostała tylko dolina Szwajcarska, w której orkiestra berlińska Fliege'go wykonywa różne utwory dawnych i nowszych kompozytorów, oraz opera miejscowa, dająca znowu znaki życia. Orkiestra Fliege'go, znana nam już z występów zeszłorocznych, jest bezwątpienia jedną z lepszych, tak ze względu na dobór sił w skład jej wchodzących, jakoteż na umiejętni i staranne jej prowadzenie. Co się tyczy jej składu, pożądanymby jednak było wzmocnienie kwartetu smyczkowego, ulegającego w miejscach zbiorowych przeważnie instrumentów dętych, które znowu są bardzo dobrze obsadzone. Wszystkie dzieła, a zwłaszcza klasyczne, wykonywane są z należytą jednością i cieniowaniem, świadczącymi o długim ograniu się i wprawie orkiestry, tak iż całość nie pozostawia nic do życzenia.

Według dotąd praktykowanego tu zwyczaju, dwa dni w tygodniu, środy i soboty, przeznaczone są na symfonie i w ogóle poważniejsze utwory, w pozostałe zaś dni grywają lżejszą muzykę. Oprócz znanych powszechnie klasyków, słyszeliśmy nową symfonią Frithiof, utwór Hoffmanna, młodego, mało u nas znanego kompozytora, zalecającego się świeżością i oryginalnością pomysłów, oraz zręczną bardzo instrumentacją. Jakkolwiek autor zostaje widocznie pod wpływem wagneryzmu, wprowadza jednak i rozwija dosyć jasno swe myśli, nie zaciemniając ich nadmiarem sztucznych kombinacji harmoniczych, ku czemu skłania się, jak wiadomo, nowa szkoła. Najbardziej oryginalną i najpiękniejszą częścią jest bezwątpienia scherzo, odznaczające się świeżymi i nowymi pomysłami, przy młodzieńczym zapale. Symfonię tę przyjęła nasza publiczność tak sympatycznie, iż w niedługim odstępie znowu ją umieszczono na programie, na powszechne żądanie. Godną też uznania nowością, wprowadzoną przez p. Fliege'go, jest poświęcenie jednego wieczoru w tygodniu utworom jednego wyłącznie kompozytora, przez co osoby mniej obeznane z literaturą muzyczną, łatwiej mogą ocenić pewnego autora i wyrobić sobie sąd o nim, słuchając kilku lub więcej utworów jego, granych kolejno, niż gdy je słyszą pojedynczo, wykonywane pomiędzy innymi kompozytorami. Takie wieczory kompozytorskie znalazły też uznanie u naszej publiczności, która się na nie zwykle bardzo licznie zgromadza. Najbardziej interesującymi były wieczory Schumanna i Wagnera, choćby tylko dlatego, że ci dwaj mistrze mniej są znani naszej publiczności od innych, lubo jeden i drugi wyrobili sobie rozgłosne imię. Pierwszego wartość i zasługi oddawna już oceniono i uznano, co zaś do drugiego, to ostatniego słowa poważna krytyka jeszcze nie wyrzekła. Innowacje jego zyskały mu zarówno znaczną liczbę gorących adeptów, jak i zawziętych przeciwników, a świat muzyczny niemiecki jest ciągle rozdwojonym w sądzie o nim, co zapewne jeszcze długi czas potrwa, nie mamy bowiem nadziei, ażeby wystawienie trylogii Wagnera w Bayreuth miało przechylić szalę na jedną lub drugą stronę. Bezstronny sąd o tym reformatorze muzycznym wydać może dopiero potomność, dziś bowiem na-

miętności w obudwu obozach wpływać muszą na przesadne podnoszenie lub poniżanie dzieł tego genialnego, choć może spaczzonego trochę umysłu.

Dnia 21 czerwca odbył się w dolinie Szwajcarskiej koncert, złożony wyłącznie z utworów miejscowych kompozytorów. Była to wiązanka najróżnorodniejszych kompozycji, tak co do stylu, jak i co do rzeczywistej wartości. Sprawiedliwość zmusza nas zaznaczyć, iż ozdobą tego koncertu było andante z symfonii Zelenkiego, którego słuchając, żalowaliśmy tylko, iż całej symfonii nie było na programie.

W teatrze Wielkim trzy główne opery Moniuszki figurują od wiosny na programie. W maju grywano Halkę, która ustąpiła miejsca Hrabinie i Straszemu dworowi, wznowionemu po dwuletniej blisko przerwie. Halka doczekała się u nas rzadkiego jubileuszu, albowiem dwóchsetnego przedstawienia, co jest najlepszym świadectwem jej wewnętrznej wartości, oraz popularności jaką sobie zyskała.

Panu Matuszyńskiemu, kończącemu 35 lat gorliwej i użytecznej służby dla naszej sceny, dyrektora ofiarowała benefis, na który wystawiono ulubioną operę Moniuszki. Pomimo najbardziej zasłużonego uznania jakim się cieszy Halka od lat kilkunastu, Straszny dwór jeszcze ją przewyższa wewnętrzną wartością, oraz starannym wykonaniem. Swojski duch z niej wiejący, szlachetność i prostota melodyj, zupełny brak sztucznych i naciąganych efektów, na które się nieraz siłą kompozytorów, tłumaczą nam dostatecznie wyjątkowe powodzenie tej opery na naszej scenie. Do najpiękniejszych ustępów zaliczamy: prolog, powrót dwóch braci w domowe progi w akcie pierwszym (tercet „cichy dom“ i poprzedzająca go przesłiczna przegrywka na wiolonczelę), początek aktu drugiego, włącznie ze sceną lania wosku, polonez miecznika, duet Stefana i Zbigniewa w 3-im akcie, oraz sławną arya z kurantem, która bardzo prędko stała się u nas popularną. Słabszymi od innych numerów są kwartet z 3-go aktu, oraz arya Jadwigi z 4-go, jako różne duchem od całości, a przypominające trochę włoską szkołę, której przecież ani śladu w reszcie opery nie spotykamy. Orkiestra, jak wogóle w kompozycjach Moniuszki, traktowana jest jako jeden z głównych czynników i dlatego nie schodzi prawie nigdzie na drugi plan; instrumentacją spotykamy wszędzie bardzo zręczną i efektowną, co nadaje wiele kolorytu całości. Pisząc to, mamy na myśli intradę, arya z kurantem, a nawet większą część aktu trzeciego.

Wogóle opera ta ma tyle warunków trwałego powodzenia, iż wolno nam wyrazić nadzieję, że za jakie lat dziesięć doczeka się podobnego jak Halka jubileuszu.

*Gustaw Roguski.*

## Przegląd polityki zagranicznej.

7 lipca.

Pomimo zbiorowych usiłowań dyplomacji europejskiej, Serbia i Czarnogóra wystąpiły ostatecznie do walki z Turcją. Oddezytując uważnie proklamacje wojenne obu książąt, nie widzimy zaiste żadnego innego powodu do wojny, prócz chęci skorzystania ze stosownej chwili i rozszerzenia tak swojej władzy, jak granic kraju, kosztem sąsiednich prowincji państwa otomańskiego. Serbia, przed samym rozpoczęciem kroków wojennych, żądała przyłączenia Bośni, nie wyrzekając się uznawania nadal zwierzchnictwa Wysokiej Porty. Czarnogóra weale nie stawiała żądań, lecz tłumacząc się niepodobną do zniesienia sytuacją kraju, bez ogródki wypowiedziało wojnę. Kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się w pierwszych dniach lipca, w różnych punktach naraz. Młoda armia serbska, złożona razem blisko ze 100,000 ludzi, podzieliła się na trzy korpusy, które wystąpiły od razu zaczepnie. Korpus zachodni, pod dowództwem generała Ranko Alimpicza, przeszedł za rzekę Drinę do Bośni i zajął już

na terytorium tureckim forteczkę Bielinę, przygotowując się zapewne z kolei do ważniejszej akcji przeciwko Zwornikowi. W okolicy tej, która graniczy ze słowiańskimi prowincjami Węgier, działania wojsk serbskich skutecznie popierane są przez ludność miejscową i naciągających z trójjednego królestwa ochotników. Rząd węgierski, niesprzyjający Serbii, w obawie powtórzenia się w granicach Węgier wypadków z roku 1848, przedsięwzięcie energiczne środki ostrożności i świeżo aresztować kazał w Nowym Sadzie Miletića, przywódcę Słowian węgierskich.

Z drugiej strony Serbii, na wschodzie, stoi nad rzeką Timokiem armia generała Zacha, której jednak stanowisko jest dotąd odporne. Tutaj Turcy atakowali Serbów pod Zajczarem i nawet zadali im dość znaczną klęskę; nie słychać jednak, żeby przeszli przez Timok w głąb Serbii. Rumunia, której granica jest bardzo bliską tego pola działań wojennych, przyrzeka dotąd neutralność, ale wzmocniła swój nadgraniczny korpus obserwacyjny i zaprotestowała przeciw projektowanym ze strony Porty działaniom tureckiej floty na Dunaju, która miała wyruszyć w głąb Serbii, ażeby bombardować Semendryę i Białogrod.

Najważniejszą atoli rolę w wojnie serbsko-tureckiej odegra, o ile się zdaje, armia południowa, zwana morawską, na której czele stoi oficer rosyjski, generał Czerniajew, i która ominąwszy ważną twierdzę turecką, Nisz, posuwa się dość szybko w głąb Bułgarii, zabierając po drodze mniejsze obwarowane pozycje Turków. W Bułgarii spodziewać się można nie tylko największych bitew, ale i decydującej rozprawy, gdyż tutaj, na przeciwko głównemu korpusowi Serbów, stoją też najliczniejsze siły tureckie, nad którymi, jak słychać, ma objąć dowództwo generał Klapka. Bardzo ważną korzyścią strategiczną dla sprawy słowiańskiej byłoby połączenie armii serbskich z czarnogórską, co jednak zapewne nieprędko nastąpi. Książę Mikołaj objął osobiście dowództwo nad głównym korpusem swoich górali, połączył się w Baniani z powstańcami hercegowińskimi i daży w kierunku Mostaru. Druga, mniejsza część jego wojska pozostała na południu kraju, gdzie Turcy od strony Albanii usiłowali już wdrzeć się w głąb Czarnogóra.

Taki jest ogólny w tej chwili obraz działań wojennych, których rezultatu nikt nie jest w stanie przeniknąć. Siły stron walczących są mniej więcej sobie równe liczebnie, ale warunki miejscowe i zachowanie się żywiołu osiadłego względem działających armii, będą miały ważniejsze w tej wojnie znaczenie, niż w jakiegokolwiek innej. Co do bezpośredniego poparcia zewnętrznego, to Serbia, prócz Rumunii, o której wspominaliśmy wyżej, mogłaby tylko jeszcze liczyć na Grecyę; ale król Jerzy nie ma ochoty do naśladowania w tym względzie księcia Milana i szuka przede wszystkim rady u rządów wielkich mocarstw. Rządy te dotąd okazują Serbii mniejszą lub większą nieprzychylność i boją się dotykać kwestyi, którą przez powstanie Serbii nabrała jeszcze większego znaczenia. Pokojowe przymierze trzech cesarzy utrzymuje się, jak mówią, w całej sile. Dnia 8 b. m. Najjaśniejszy Cesarz Aleksander będzie miał w Reichstadzie konferencją z cesarzem austriackim, której przedmiot stanowić będzie niezawodnie obecna wojna. Nie ulega wątpliwości, że odporne zachowanie się Anglii było jedną z głównych przyczyn wybuchu tej wojny. Dziś Anglia, wierna swojej polityce, nie mogąc otwarcie pomagać Turcy, żąda przynajmniej bezwarunkowej nieinterwencji i baczny okiem śledzi wszelkie mieszanie się obcych żywiołów do wojny. Czy jednak wytrwa przy tej zasadzie nieinterwencji do końca i czy, w razie przypuszczalnych a możliwych zwycięstw oręża serbskiego, pozwoli na rozbiór Turcyi, jest to pytanie, na które nie moglibyśmy odpowiedzieć tak samo, jak nie możemy przewidzieć coby nastąpiło, gdyby Turcy pokonała swoich wasali i odebrała im nawet cien dotychczasowej niezależności.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)





**Młodość.** Rysunek oryginalny Juliusza Kossaka.





Starość. Rysunek oryginalny Juliusza Kossaka.



(Dokończenie).

Czasy wychowania i młodzieńczej wrażliwości Jeża przypadły na największą w kraju naszym gorączkę heglizmu, o której niedawna szermierka w imię filozofii pozytywnej zaledwo słabe dać może pojęcie. Całe niemal piśmiennictwo wrzało propagandą lub zapasami z przeciwnikiem, a wszyscy niemal czytający brali tę rzecz poważnie. Pomimo jednak tego wszystkiego, może skutkiem oddalenia od ogniska ruchu, a może też skutkiem zwrotu do matematyki, Jeż nie dał się porwać Heglowi, i jako powieściopisarz nigdy nie holdował jego teorii „sztuki dla sztuki“, owszem stał się pisarzem jaknajwybitniej tendencyjnym, ma się rozumieć w dobrém tego słowa znaczeniu. Od samego początku widzieliśmy go występującego z pewną ideą społeczną, ku której charaktery swoich postaci i całe opowiadanie nagina. Tą ideą w najluzniejszym określeniu jest „pożytek ogółu“, przez następcę mu możliwości „dokładnego poznania siebie“, przez wynikającą z tego poznania siebie „poprawę“, przez „postęp“.

Założenia te, jasno wytlumaczone w przedmowie do nowego, zbiorowego wydania dzieł Jeża, oczywiście nie mogły być od razu z całą ścisłością sformułowane. Sam wyznaje, że „wziął się był do pióra nieprzygotowany zgoła, a raczej przygotowany do pochodu życiowego na drodze wcale innej, aniżeli pisarska; wszedł na nią przypadkowo i pozostał na niej, dzięki jedynie prądom sympatycznym, idącym od niego do publiczności i wracającym od publiczności do niego.“ Dopiero lata czasu, względy publiczności i zachęta ludzi takich jak Antoni Lesznowski, Józef Korzeniowski, Julian Bartoszewicz, Jan Dobrzański, oswoiły go nareszcie z powołaniem pisarskim, przestał „mieć sam siebie za intruza“ i przyjął rolę, którą długo za „nieodpowiednią“ dla siebie poczytywał. Wszelako, chociaż sformułowanie owych założeń nastąpiło dopiero po dwudziestu latach pracy, niemniej przeto całkowity jej kierunek zmierzał ku owym założeniom.

Ostatnie chwile pobytu naszego powieściopisarza w kraju przypadły na starania ruchliwszych umysłów około „zdemokratyzowania“ społeczeństwa. Błędem byłoby utrzymywać, jakoby ruch ten wziął początek w kółku młodzieży uniwersyteckiej w Berlinie i że najbardziej rozwijał się w Poznańskim: był tam jedynie namiętniejszy, mniej siebie świadomy, a więc i szkodliwszy niż gdzieindziej, ale wszędzie chybotwały się jego fale. Żeligowski w *Jordanie*, Wolski z Moniuszką w *Halce* i wielu innych po różnych stronach nizało różaniec skarg ludu na nici wykrzyku Mickiewicza: „Nie miałeś litości, panie!“ Kondratowicz ostentacyjnie wynosił ubogą szlachtę zaściankową nad możnowładzców; sam nawet obrońca szlachty zamożniejszej, Krasinski, śpiewał o równości przez „zszlachcenie“ chłopów.

Jeż całą duszą przylgnął do tego ruchu i odbił go też w swoich utworach. Kiedy po ósmiu latach wziął się do pióra, „Punkt ogniskowy, powiada sam o sobie, znalazłem w zasadach szczerze i wyraźnie postępowych, otoczonych światłem, sprawiedliwością i miłością bliźniego, a obalających przesady, bez względu na to, z kąd one pochodzą, gdzie się gnieźdzą, ani jak się mianują. Reguły postępowania wypłynęły z zasad same przez się i wyprowadziły na arenę powieściową szereg postaci płci obojgiej i stanów różnych, pełniących w rozwoju życiowym społeczeństwa naszego funkcją czynników ujemnych.“ Ztąd powieść jego, zamiast być abstrakcyjnym dziełem piękną, jak *Wenus medycejska* lub *Apollo belwederski*, stała się *czynem społecznym*. Ale ztąd też po części wypłynęły i niektóre jej skazy.

Nie ulega wątpliwości, że wadliwy stosunek między klasami społeczeństwa zarówno szkodliwie oddziaływa tak na stronę czynną, jak i na bierną: niewola wyciska piętno spodlenia na czole nie tylko niewolnika, ale i pana. Nie chcemy więc, ba! i nie mamy powodu twierdzić, że stosunek

poddaństwa, który w wielu razach jak struna nad miarę wyciągnięta wydawał zgrzyt przeraźliwy zamiast harmonii ekonomicznej, nie oddziaływał zgubnie na charakter posiadaczy ziemskich. W powieściach wszakże Jeża, na przykład w przeszlicznej zkadinał *Handzi Zahornickiej*, owa prawda szczegółów podnosi się do reguły ogólnej, tém jaśkrawszej, że częstokroć prawie nie cieniowanej ze względu na mądrą maksymę: „i Niemcy są ludzie.“ Odbija to jeszcze bardziej w niektórych utworach późniejszych Jeża, pozostającego na stanowisku 1847 r., kiedy czasy i rzeczy w kraju do gruntu się zmieniły. Nie myślimy go o to winić, zwykła to bowiem kolęj ludzi długo odezwanych od bezpośredniego zetknięcia ze swoim społeczeństwem. Owszem, na obronę jego dodamy, że idąc jak idzie, zawsze z chlubą może powiedzieć o sobie z Bérangerem: „J'en'ai flatté que l'infortune.“

Pomimo jednak wybitnego górowania tendencji w powieściach Jeża, strona ich artystyczna jest niepospolicie piękna. Gdyby powieściopisarzy można było podzielić, jak malarzy, na pejzażystów, malarzy rodzajowych, historycznych, religijnych, Jeż z natury swojego talentu należałby do rodzajowych. Tło, krajobraz, fotografia lasu, ogrodu, łączki, mieszkania, sprzęcików i cacek nie zabiera w jego utworach naczelnego miejsca, jak bywa zwykle w powieściach kobiecych; owszem, poniekąd nawet grzeszy pod tym względem ubóstwem. Akcesoryów ubocznych Jeż tyle tylko używa, ile koniecznie potrzeba do zrozumienia osób działających. Powieściopisarstwa historycznego próbował z niepoślednim powodzeniem w jednej tylko *Historii o pra-pra-dziadku*, jakkolwiek i to dzieło zaprawił po swojemu dążnością czysto nowożytną; późniejsze zaś utwory z tego zakresu: *Dersław z Rytwian* w „Kłosach“ i *Za króla Olbrachta* w „Niwie“, wydają nam się dość słabymi, świadczącymi że autor poprostu nie panuje nad przedmiotem. Umysł to tak realistyczny, tak ściśle z terażniejszością skojarzony, że nie może się zdobyć na wyjście po za swój czas i siebie samego, by stać się spokojnym zwierciadłem przeszłości, zwłaszcza tak dalekiej, jak czasy pierwszych Jagiellonów. Do sfer religijnych, mistycznych, nawet tam gdzie potrzeba wymagać tego mogła, Jeż się nie wzbijał i zapewne próbować lotu w tamte kraje nie będzie, bo ten rodzaj twórczości nie przypada do jego usposobienia. Natomiast w portretowaniu codziennego życia, a zwłaszcza życia ludu, jest niezrównany.

Pomimo pewnej stronności w rozkładaniu światła i cieni na malowane postacie, każda taka postać, wyprowadzona przez Jeża, ma rysy twarzy wybornie pochwycone, ruchy i mowę sobie właściwą, w złém i dobrém nie przeniewierza się swojemu charakterowi, myśl złożoną w niej przez autora wypowiada niedwuznacznie i konsekwentnie zmierza ku rozwiązaniu. Szczególniej postacie dodatnie, owe typy ludowe ukraińskie, żydowskie, nawet cygańskie, tak umiejętnie są oświetlone, tak nieznacznie podnoszone w sferę ideału, że zdają się być żywcem brane z rzeczywistości, a kochać się każą, jak goście z innego świata. Nic na pozór prostszego, nad rozmowę toczoną w jego powieściach pomiędzy figurami ludowymi, lecz rzeczywistość nie nad nie trudniejszego. Trzeba być wtajemniczonym nie tylko w cały świat wyobrażeń ludu, lecz i w sposób ich wiązania się w jego głowie, ażeby powtórzyć rozmowę Andrija z Kozakiem w *Handzi*, albo Żydówki z bachorami i czeladzią w *Pra-pra-wnuku*.

To przejęcie się Jeża uczuciami i myślami ludu, niezdradzające nigdzie sztucznego podszywania się pod jego sposoby widzenia, stało się też jedną z największych zalet jego powieści roztańczonych na gruncie obczyzny. Ogólna znajomość serca ludu, w połączeniu z darem szybkiego postregania, dozwoliła mu w ciągu krótkiego pobytu w Węgrzech zgromadzić kolory do jednego z najpiękniejszych swoich utworów *Szandora Kowacza*, w którym żywiły słowiański, węgierski i cygański z równą swobodą i prawdą występują. Czytając później zakwitłego Jokaya z zadziwieniem spotykamy w nim te same charaktery co

w Jeżu, świadczące o wielkiej prawdzie rysunku owych dawniejszych postaci. Lecz wyższe jeszcze od „Szandora“ są powieści, w których żywił południowo-słowiański występuje albo sam, albo w zetknięciu z tureckim. Pomiedzy temi utworami drobny obrazek: *Orzeł swatem*, drukowany w r. 1861 w piśmie zbiorowym „Po ziarnie“, niewymieniony w spisie wydania zbiorowego, tyle ma pierwszorzędnych piękności w zarysie, że rozwinięte, starczyłyby na dzieło pięć razy obszerniejsze. Z późniejszych *Uskoki*, *Narzeczoną Harambaszy*, *Dachwyszczynę* i inne, czytelnicy w dobrej mają pamięci. Lud ten serbski, który, jak jeden z bohaterów Jeża, ręką pozbawiony, staje jednak do pojedynku z Turczykiem, dziwnie pięknie w swojej prostocie wychodzi z pod pióra naszego powieściopisarza. Towarzystwo też naukowe serbskie w Białogrodzie, ceniąc te zalety prac Jeża, wybrało go na swego członka.

Badania historyczne, jak już wspomnieliśmy, mniej się udają Jeżowi, raz z powodu niemożności zamknięcia się na trzy spasty sam na sam z materyalami dziejowymi, a powtórze z powodu wzmiankowanej już powyżej nieumiejętności odezwania się od chwili bieżącej. Jego *Francya za drugiego cesarstwa*, oraz *Belgia i Belgowie*, to nie studia historyczne lub etnograficzne, uniesione w strefy beznamiętnej ciszy naukowej, lecz tylko artykuły dziennikarskie, w których historia i etnografia służy za płaszczyk do osłaniania wypraw orężnych przeciwko osobom i stronnictwom niemiłym autorowi, z powodu swych dążności. Natomiast fotograf przelotnej chwili bieżącej, korespondent wyborny z Jeża co się zowie; umie ją chwycić, jak jaskółka w przelocie. Szczególniej na rzeczach wojskowych zna się wysmienicie; on to jeszcze przed zwracaniem się Francuzów z Niemcami w 1870 r. przepowiedział w liście do „Gazety Warszawskiej“ klęskę Francji, z powodu niedoświetła jej wodzów.

Styl Jeża, nieprzeciążony ozdobami, owszem cokolwiek może zaubogi w kwiaty i wonie, odznacza się poprawnością, bardzo rzadko nawiedzana rusycyzmami. Ścisłość w dobięciu właściwych wyrazów, prostota szyku, trafna obrazowość, unikanie nawału zdań wtrąconych, dają mu pożądaną płynność i jasność, a tém samym czynią nienużącym i miłym w czytaniu. Gdyby jeszcze w rozmowach mniej nieco wykrzykników, nieznajdujących się w żadnym słowniku, styl ten możnaby nazwać wzorowym, zarówno w opisach, jak w dyalogach. Jest to już jednak właściwość Jeża, z którą się zrosł od początku zawodu pisarskiego.

Na ostatni wyraz sądu o tym pisarzu jeszcze nie pora. Działalność jego ani na chwilę nie ustaje, i nikt nie zaręczy, że nie znajdzie innych szlaków, nie otworzy nowych widoków do rozważania. Dość więc nateraz powiedzieć, że artysta niepospolity i pracownik społeczny niestrudzony, Jeż piórem swoim niemałe oddał krajowi usługi. Pomimo niejakich zastrzeżeń co do pewnych sposobów jego widzenia, nie wątpimy, że „nie sympatyczna, wiążąca go z publicznością czytającą, nie zerwie się“, jak słusznie sam wieszczę o sobie.

W. Korotyński.

## PRZESADY,

komedia w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

ŻYLASTOWICZ

(szydlerczo). I pan zrozumieś?... No proszę, a ja mimowoli unikałem z panem rozmowy tak uroczystej jak dzisiaj.

ARTUR.

Zgadłeś, szanowny panie, będzie ona uroczystą. Mówiąc o swoim domu, zapomniałeś pan jeszcze o jednej z kobiet...



ŻYLASTOWICZ.

O mojej siostrze?

ARTUR.

Panie Żylastowicz, obiecałem mówić poważnie.

ŻYLASTOWICZ.

(*półgłosem, szyderczo*) Obiecać a dotrzymać...

ARTUR.

Zaraz dam tego dowód. (*Wstaje.*) Mam zaszczyt prosić szanownego pana o rękę jego córki.

ŻYLASTOWICZ.

(*zrywając się.*) Co? nie żarty?

ARTUR.

Nie śmiałym.

ŻYLASTOWICZ.

Spodzielam się! (*Po namyśle.*) Panie hrabio...

ARTUR.

(*na stronie.*) Raz przecie nazwał mię hrabią.

ŻYLASTOWICZ.

Panie hrabio, przedewszystkiem dziękuję ci za postępek, zazwyczaj cechujący człowieka honoru, postępek którego, przyznaję, złe może do niego uprzedzony, nie spodziewałem się bynajmniej, lecz...

ARTUR.

(*cicho*) Oho! lecz.

ŻYLASTOWICZ.

Lecz na propozycją pańską przystać nie mogę.

ARTUR.

Odmawiasz mi pan ręki panny Julii?

ŻYLASTOWICZ.

Najzupełniej.

ARTUR.

Proszę się dobrze zastanowić... Musisz pan przecie przyznać, że tylko prawdziwa miłość skłoniła mnie do tego kroku.

ŻYLASTOWICZ.

Przyznaję, bo gdyby nie to, krok pański byłby czystym szaleństwem, tak zaś jest...

ARTUR.

Jest?...

ŻYLASTOWICZ.

Daruj pan: jest nierozwaga, której moglibyście pożałować, pan wcześniej, a moja córka później.

ARTUR.

Lecz pańska córka kocha mnie.

ŻYLASTOWICZ.

Być może; tém boleśniejszą będzie dla niej odmowa.

ARTUR.

Jestżeś pan jej pewny?

ŻYLASTOWICZ.

Jestem pewny że posłucha rady, podyktowanej przez najgłębsze dla niej uczucie, rady swego ojca.

ARTUR.

Lecz jakież powód?

ŻYLASTOWICZ.

Alboż to mały, że pan jesteś hrabią, a ja nim nie jestem?

ARTUR.

Przesąd ten...

ŻYLASTOWICZ.

Jest moim przesądem. Czy wam tylko, panowie, mieć je wolno?

ARTUR (*dumnie*).

W każdym razie sędzę, że hrabia Orski miałby prawo dowiedzieć się o tém od córki pańskiej.

ŻYLASTOWICZ.

Hrabia Orski nie miał prawa starać się o miłość córki mojej, bez mego zezwolenia.

ARTUR.

Panie, nie cofniesz tego, co się już stało!

ŻYLASTOWICZ.

Cofnę, tak mi Boże dopomóż! cofnę, choćby dziecko moje boląc miało srodze.

ARTUR (*na stronie*).

Dosyć tego poniżenia! (*Głośno*). Uczyniłem co do mnie należało; teraz racz pan uczynić co do ciebie należy. Pragnę powtórzyć moje oświadczenie w obecności pańskiej córki.

ŻYLASTOWICZ.

Nie mogę panu tego odmówić, lecz uprzedzam, że cokolwiekby odpowiedziała, mnie to nie wiąże. (*Wychodzi na prawo*).

ARTUR.

Co? co? ten mieszczuch lęka się zmieszania

swojej krwi z moją? Rzeczy dotąd niesłychane! Zobaczymy jednak, co Julia powie... Prawda, mogłem ją wczoraj dotknąć, lecz gdy dziś daję jej pełną satysfakcję, przychodząc prosić o jej rękę, jak najzwyczajniejszy plebejusz... A przytém ona mnie kocha. Ja także, na honor... mam dla niej pewien gatunek dziwnego uczucia. Będzie się trząsał nasz świat!... No, ale jak mnie znudzi, wyjedziemy za granicę... Czuję, czuję coś dla niej, a choć mi to może nie wystarczy na długo... Wreszcie gdy mi na myśl przyjdzie głupia mina mego kuzynka... Hultaj! gdyby nie jego wtrącenie się, obeszłoby się bez tych wszystkich korowodów. Aha, już nadchodzi... naturalnie, biorąc mnie pełną garścią. O biedny Arturze, poszkarpiles się piramidalnie! (*Wchodzi Żylastowicz rozpromieniony, Artur na stronie*). Jaki kontent! już mnie mają! (*Głośno*). Pan sam?

ŻYLASTOWICZ.

Samiutenki. *I to prawda*, że się może cieszyć nie powinien, ale przygotowany byłem na scenę przykrą i smutną; szczęśliwy jestem że się stanie inaczej.

ARTUR.

Naturalnie, niema tu powodu do smutku. (*Na stronie*). Oj gdybym mógł drapnąć!

ŻYLASTOWICZ.

Biedna dziewczyna, z jaką spokojną rezygnacją...

ARTUR.

Przyjęła?...

ŻYLASTOWICZ.

Odrzuciła tak zaszczytne dla niej oświadczenie.

ARTUR.

Odrzuciła? daruj pan, ale chciałbym z ust jej...

ŻYLASTOWICZ.

Stanowczo przeprosza, że przyjść nie może i ja przeproszam za nią.

ARTUR.

Nie spodziewałem się, daję panu słowo, nie spodziewałem się...

ŻYLASTOWICZ (*na stronie*).

I ja.

ARTUR.

Lecz skoro to państwu konwenuje, daję panu słowo że i mnie także...

ŻYLASTOWICZ.

Nigdy o tém nie wątpił.

ARTUR (*z ironią*).

Zatém przyjm, panie Żylastowicz, przyjm moje ukłony.

ŻYLASTOWICZ.

I moje, wraz z podziękowaniem za niezasłużony honor. (*Na stronie*.) A teraz lecę do niej. Biedna, pewno płacze! (*Nie uważając na Artura, wybiega na prawo*).

ARTUR.

No, i zostawił mnie bez ceremonii. Jak Mizie kocham, te mieszczuchy dumniejsze dziś od nas. Gdyby warto było, wściekałbym się na nią. Kochała, kochała, a teraz nie chce. Tfu! bodaj moja noga w tym domu nigdy nie powstała! (*Chce wyjść, w głębi łapie go obcesowo Spuerer*).

#### Scena 4.

ARTUR i SPUERER.

SPUERER.

Panie hrabio, panie hrabio, córka moja...

ARTUR.

Jest pańska córka, wiem o tém.

SPUERER.

To nic jeszcze, ale ona w długich ze mną rozmowach...

ARTUR.

Zatém państwo macie dużo czasu; ja zaś przeciwnie, przynajmniej nie w tej chwili.

SPUERER.

Widzę to po faldach gniewu na czole pana hrabiego; ale one właśnie mnie zachęcają.

ARTUR.

Faldy mego czola?

SPUERER.

Faldy. Panie hrabio, czy mam mówić o miłości?

ARTUR.

Ejże, to jakaś komedia!

SPUERER.

Komedia? pfe! Moja córka i komedia! Ona, która od dwóch miesięcy nic nie czyta; nic nie je, płacze tylko po kątach i wzdycha, a w nocy przez sen jedno tylko imię biedaczka wymawia.

ARTUR (*chcąc wyjść*).

Nie wymawiaj go pan, bo się zarumienię.

SPUERER (*zatrzymując go*).

Przysięgam, panie hrabio, że położę przed tobą duszę moją, jak na stole. I mógłbym inaczej, skoro biedne dziecko moje tyle cierpi?

ARTUR.

Żal mi pańskiego dziecka. Mówisz pan zapewne o panie Adeli. Ależ nareszcie czego pan chcesz odemnie?

SPUERER.

Panie hrabio, mąż mojej Adelinci, czyli człowiek z którym ona skojarzy swoje uczucie, weźmie odemnie błogosławieństwo i gotóweczką milion talarów... milion talarów, które nie chodzą piechotą.

ARTUR.

Bardzo winszuję, więc teraz już odejść mogę?

SPUERER (*zatrzymując go silą*).

Nie znaczy to, żeby tylko milion dostał, bo po mojej śmierci...

ARTUR.

Żyj pan do licha, tylko mnie puść!

SPUERER.

Panie hrabio, gdy córka moja żyć przestanie, i ja skonom zaraz.

ARTUR (*półgłosem*).

Czyżem już spadł tak nisko?

SPUERER (*na stronie*).

Złe, ale *ich hab' Geduld*. (*Głośno*). Panie hrabio, przebac najniezszczęśliwemu ojcu. Adelincia, kochając pierwszą miłością, będzie sługą i najwierniejszą towarzyszką tego kogo kocha, poświęci życie swoje i wszystko co ma, czyli całe dwa miliony talarów...

ARTUR.

Panie, jeśli się nie mylę, Spuerer. Wierzę że pragniesz sprzedawać, i ja także. Znasz Rajkowszczyznę, dają mi za nią przeszło dwa miliony, a jest-to dopiero trzecia część mej fortuny. Zgłoś się w swoim czasie do mego plenipotenty, a możesz zrobić jeszcze świetny interes. Żegnam.

SPUERER.

Dlaczego nie? Kupiłbym; byłby cichy kąs dla Adelinci, a gdy jeszcze mieć będzie trzeci milion—tak, bo dam jej go natychmiast gotówką, nie obiecanką cacanką, zaraz przy akcie intercyzy—to przy wzajemności, na jaką serce jej zasługuje... Ah! panie hrabio, gdybyś tak znał jej serce jak ja, a jej rozum, jej ukształcenie, jej wszystkie języki! Trzy miliony gotówką i tyle cnót, to tak, jak gdyby razem cztery miliony!

ARTUR.

Rachujesz pan cudownie—zatém żegnam!

SPUERER (*zatrzymując go za guzik, ocięra pot z czoła i mówi stanowczo*).

Panie hrabio, nie odejdziesz, póki się nie rozmówimy stanowczo i jasno. Jak mnie tu pan widzisz przed sobą, mam fortuny sześć milionów pewnych, niczém niezahaczonych, sześć milionów, na wielkiego Pana Boga, hrabio! Z tych cztery, oprócz przymiotów, oddaję córce za tym, którego ona wybierze, a dwa tymczasowo zostawiam sobie.

ARTUR (*z wahaniem się*).

Lecz zkądże ja?...

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DLA RODZINY POZOSTAŁEJ PO Ś. P. WOJCIECHU GROCHOWSKIM otrzymaliśmy:

Przelane z redakcyi Kuryera Warszawskiego rs. 1 kop. 50; z redakcyi Kuryera Codziennego rs. 1.

Razem ze złożonemi poprzednio rs. 2,673 k. 70.

Na budowę kościoła w Ciechocinku otrzymaliśmy od M. i H. Szczęśliwych w Husiatynie rs. 5.

Na nędzę wyjątkową od B. T. w Talnem k. 30.



## Już po kuligu.

Już po kuligu! i serdeczna pta  
Krakowskiej piosnki, weselem osnuta,  
Ucichła z brzaskiem wschodzącej jutrzeńki.  
Cóż to, dziewczeczko, czy żal ci sukienki,  
W te różnobarwne przystrojonej wstęgi?...  
Może myśl twoję zakłęły w swe koło

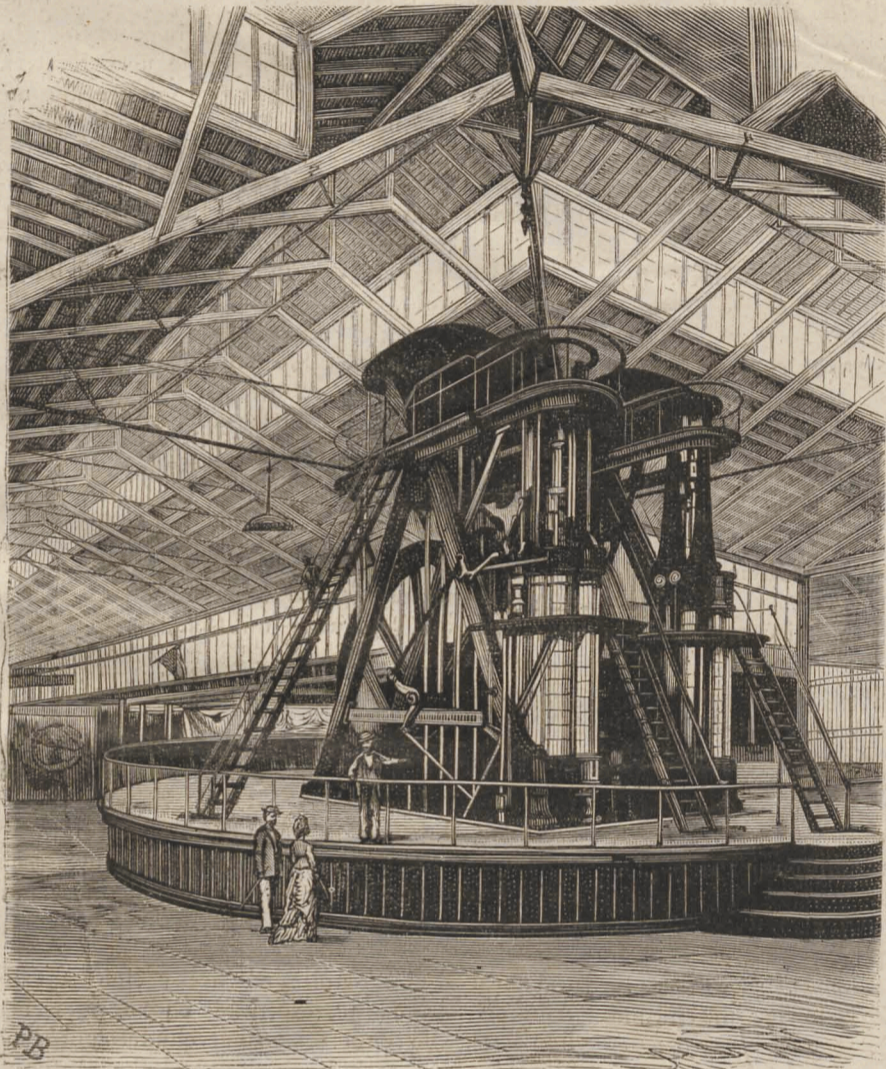
W uroczym tańcu zataczane kręgi?...  
Tyś taka smutna—zamyślane czoło...  
Powiedz — co wpiszesz do wspomnień swych  
[księgi?..  
Powiedz—w twój duszy smutno, czy wesoło?...

Już po kuligu! Dziewczę, czy się skarżysz?  
Czy o serdecznej tój piosence marzysz  
Twego tancerza, który przy twym boku,

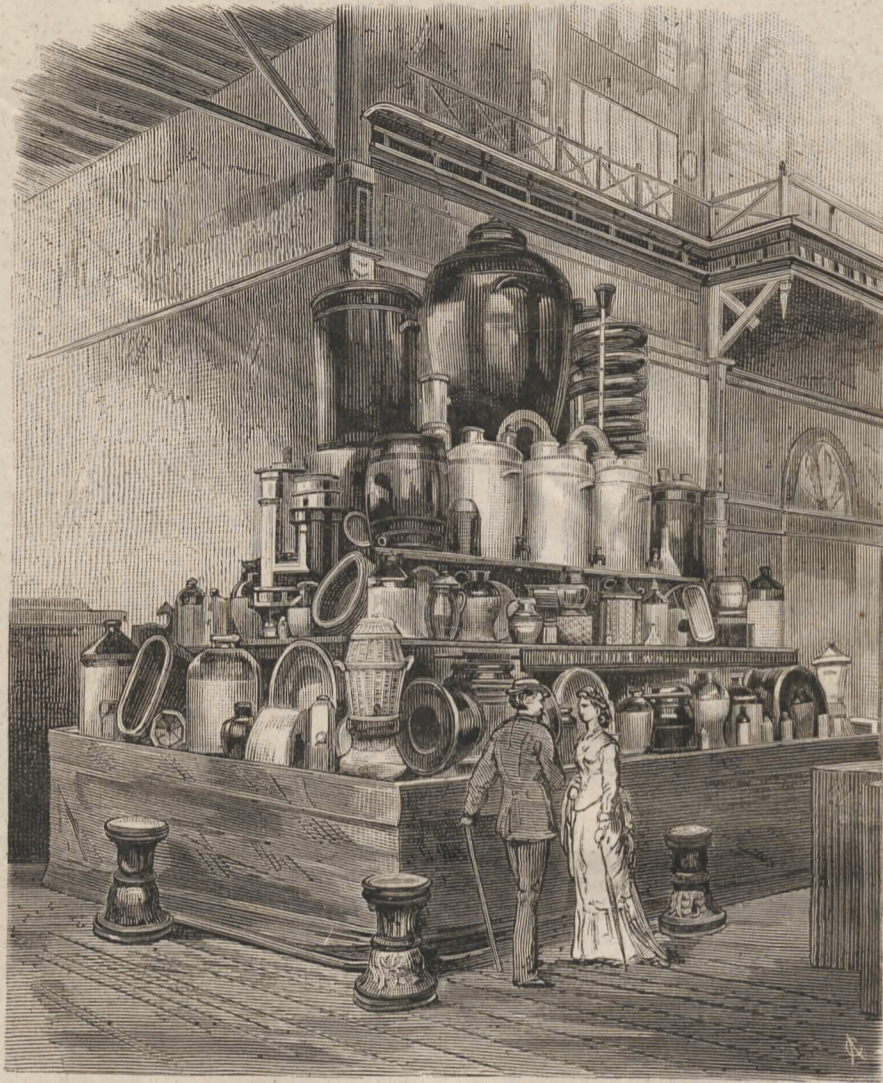
Szczęśliwy, dumny, tonął w twojém oku?...  
Jak śpiewał o tém, co mu życie dwoi,  
Gdy czuł przy piersi twego serca bicie?  
Jak myślał: „Niechaj cały świat się zbroi:  
Stanę do walki! Lecz nim oddam życie,  
Zbuduję szczęście, o jakim ta roi,  
Która piękniejsza od lilij w rozkwicie!...”

Już po kuligu! I ty, Krakowiaku,

## Z WYSTAWY POWSZECHNEJ W FILADELFI.



Motor główny pawilonu maszyn, o sile 2,500 koni.



Okazy ceramiki.

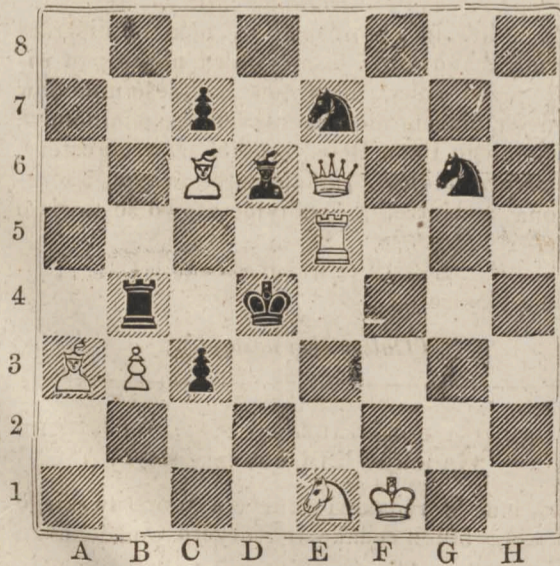
166

167

## SZACHY.

## ZADANIE XXVI.

Białe zaczynają i dają mat za 2 posunięciem.  
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 25.

Białe.

Czarne.

- |                    |           |
|--------------------|-----------|
| 1) G1—H2 † . . .   | 1) F4—E3. |
| 2) H2—B8 . . .     | 2) D5—D4. |
| 3) B5—C7 . . .     | 3) C3—F4. |
| 4) C7—D5 †† i mat. |           |

## NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

W tych dniach opuściło prasę

DZIEŁO

WIKTORA TISSOT

pod tytułem:

Prusacy w Niemczech.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

Całe dzieło obejmuje trzydzieści cztery arkusze druku.

Cena rs. 1.

U w a g a. Osoby zamieszkałe w cesarstwie i na prowincyi, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą rs. jeden, będą miały całe dzieło wysłane franco.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

## REBUS.

168



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 27.

Doświadczenie lepsze, niż z książek nauka.



Błaskasz się myślą w minionych chwil szlaku...  
 Całyś wsłuchany w te przebrzmiałe dźwięki  
 Błyszczących kółek i podkówek brzęki...  
 Całyś wpatrzony w pawie piórko lśniące...  
 Czy to jój oko takie rzuca blaski?..  
 Czy jeszcze słyszysz, jak weselem wrzące,  
 Gdyś wiódł swój orszak, zabrzmiały okłaski?  
 Jak serca wszystkich zabiły gorące,  
 Witając żywe przeszłości obrazki?...

Już po kuligu! Młodzieńcze, myśl błoga  
 Błysła ci w oczach... wznosisz je do Boga,  
 Spoglądasz w niebo—czy też tam w lazurze  
 Szukasz tych ocząt, co w „białym“ mazurze  
 Skrzyły się cudnie?... Może ci się zdało,  
 Że obok widzisz uroczą dziewczeczkę,  
 Czujesz czar, jakim lice jój jaśniało,  
 Kiedy śpiewała: „Daj z nieba gwiazdeczkę!“  
 A tyś odspiewał: „Dziweczę, żadasz mało!  
 Dam ci świat szczęścia! Pamiętasz piosneczkę!“

Już po kuligu! Zbudź się, zbudź, dziewczyno!  
 Pozbięraj myśli, co tak tłumnie płyną...  
 Wróć w rzeczywistość z tamtych sfer zaklętych...  
 Lecz nie zapomnij swą dłońią uszczkniętych  
 Kwiatków serdecznych, niezatartych wrażeń;  
 Zabierz je z sobą... w twego serca wiośnie  
 Zamknij te ziarenka uczuć, złotych marzeń,  
 Może z nich kiedy kwiat szczęścia wyrośnie!...  
 A gdy ci błysnie wśród życia wydarzeń,  
 Witaj go z wiarą, miłością radośnie!...

Już po kuligu! Młodzieńcze, w tej dobie  
 Zkąd ci te myśli dawniej obce tobie?  
 Pragniesz budować gmach szczęścia na ziemi!  
 Czy wiesz gdzie szczęście?... Precz z myślami temi,  
 Młody szaleńcze! wypogódź oblicze,  
 Słum bicie serca swego tajemnicze!...  
 Patrz, jak się ludzie krzątają wesoło;  
 Tam szczęście... w pracy szlachetnym wyścigu,  
 Tam burzom życia stawiaj harde czoło...  
 Nie zapominaj—że już po kuligu!... F. S.

## LISTY Z WYSTAWY FILADELFIJSKIÉJ

Sykurda Wiśniowskiego.

### VI.

#### PAWILON DAM.

Jubileuszowa wystawa amerykańska zawdzięcza wiele amerykańskim kobietom. Z ich bezpośrednich składek, z koncertów i loteryj przez nie urządzanych, z wpływu wreszcie jaki ich agitacja wywarła na mężczyzn, przybył znaczny dodatek do pierwszego warunku każdego nowoczesnego przedsięwzięcia—do kapitału.

Jakby dla odwdzięczenia za tę przysługę, dyrekcja wystawy pozwoliła na osobne przedstawienie robót żeńskich. Oddział ten jest nie tylko dla kobiet zajmującym, lecz i dla mężczyzn, mianowicie europejskich, pokazując im rzetelne owoce przypuszczenia niewiast do konkurencji przemysłowej.

Prasa niemiecko-amerykańska szczególnie, z charakterystyczną brutalnością narodu, co w domu zaprzęga żony do najcięższej połowej pracy, utworzyła w Europie pojęcie, jakoby kobiety amerykańskie na nie się nie zdały, prócz wydawania pieniędzy przez mężczyzn zarobionych. Oszczerstwo to popieraają przypomnieniem, że każda nawet służąca tutejsza wygląda na damę rąk delikatnością, elegancją ubioru i układem towarzyskim.

Przynajmniej że wiotkie córki Ameryki lubią zbytek, potępiając ich niechęć do ponoszenia obowiązków macierzyńskich i kuchennych, przekonamy się jednak w pawilonie im poświęconym, że nie są wcale darmozjadami. Co tylko palce zaatlantycznych kobiet umieją zrobić dla upiększenia domu i osoby, przysłano tu z Europy. Okazy te niczym jednak nie przewyższają robót kobiet ame-

rykańskich. Toż samo można napisać o utylitarnych, w gospodarstwie domowym ważnych gałęziach kobiecego przemysłu, jako-to okazach konserw, wędzonek, nabiału, ogrodnictwa i t. d.

Dowodów że kobiety mogą być biegłymi rękodzielniczkami, celować w specjalnych wiadomościach i profesjach uczonych, robić nawet świetne wynalazki, Europa zupełnie nie dała, podczas gdy damy amerykańskie zadziwiają niemi wszystkich sprawozdawców.

Najpiękniejsze hafty, jakie kiedykolwiek widziałem, pokazują dom amerykański Horstmana, zajmujący setki robotnic w tej gałęzi kobiecego przemysłu. Tylko niedaleko od nich umieszczone hafty japońskich kobiet na atlasie, plecionkach i wachlarzach, mogą się porównać z niemi co do żywych barw i pięknych deseniów.

Kobiety szwedzkie przysłały także piękny zbiór haftów i ozdób z łusk rybich. Jest tu okaz mozaiki tej roboty, ze sceną miłosną, na której dziewczę obrywa listki astru, pytając: kocha, nie kocha?

Pomiędzy okazami rytownictwa najbardziej oczywście zajmują publiczność sztychy ręką królowej angielskiej na kamieniu rytowane. Są to kopie obrazów Landsera, nie bez pewnej zaślugi.

Amerykańskie artystki-malarze i snycerze urządziły tu małą wystawę sztuk pięknych. Obrazy, prawie wyłącznie rodzajowe lub pejzaże, nie sięgają w ogólności nad mierne oddanie natury. Kilka jednak malowideł owocowych grup wypada zaliczyć do najlepszych tego rodzaju okazów. Pomiędzy posągami dostrzegłem Ewę i świętego Krzysztofa z dzieciątkiem Jezus, zasługujące na uznanie.

Niektóre domy fabryczne z Nowej Anglii przysłały komplet maszyn używanych do tkania ogromnych dywanów, bander, płócien, perkalów i t. p. Kilkadziesiąt dziewcząt pracuje wobec widzów na tych warsztatach.

Szkoła medyczna dla kobiet amerykańskich wystawia zbiór lekarstw i instrumentów, zrobionych lub wynalezionych przez kobiety. Modele maszyn do ułatwiania pracy kuchennej, baterie elektryczne nowego systemu i inne kobiece wynalazki tworzą zbiór ciekawy. Meble, trzewiki i rozmaite przedmioty z fabryk li dziewczęta zajmujących niegorsze są od męskich okazów.

Z Cincinnati przysłano wrota kościelne, łózka, meble, organy i rozmaite drobiazgi, rzeźbione przez uczennice tamtejszej szkoły rysunków. Obok nich widzę oryginalne prace indyjskie z paciorków, skóry i t. p. I tym i owym nie zbywa na wdzięku, gdyż kobieta zawsze przechowuje pewne poczucie estetyczne, czy ją zepsuto przesadnym ubóstwianiem praktykowanym przez Yankesów, czy zepchnięto pomiędzy pociągowe zwierzęta, wedle przykładu czerwonoskórców.

Wystawę żeńską uzupełnia redakcja dziennika zwanego *Wiek Nowy*, pisanego i składanego przez damy w pawilonie. Przy prasie pracują jednak mężczyźni, gdyż muskuły pań amerykańskich nie podobałyby tej pracy.

#### PAWILONY SPECYALNE.

Liczba tych rozmaitych zabudowań zwie się—legion. Zbudowano je na cele rozmaite, tworzą zaś rodzaj miasteczka w południowej części parku.

Część ta filadelfijskiej wystawy najniekorzystniej wygląda w porównaniu z wiedeńską. Niema w niej pałacu khedywa, owego czarodziejskiego widowiska, które nazawsze tkwić mi będzie w pamięci. Niema vorarlberskich i szwajcarskich szaletów, chat siedmiogrodzkich, czardy węgierskiej. Gdyby nie piękne japońskie, angielskie i szwedzkie domy, nie byłoby tu nic widzenia godnego.

Każdy Stan prawie amerykański postawił tu pałacyk, już to dla komisarzy swych, by pałac cygara i zapijając wino, mieli gdzie o polityce prawić, już dla odrębnych wystaw swych płodów, służących do zwrócenia uwagi emigrantów na właściwości, jakimi tę lub ową okolicę obdarzyła przy-

roda. Budynki te w niczym się nie różnią od will, tak licznych na przedmieściach wielkich miast tutejszych. Budowniczcy ich nie posiadali ani iskry oryginalności, ani cienia smaku. Stan Ohio najchętniej się jeszcze spisał, budując pawilon z próbek swego wybornego granitu. Stan Mississippi przysłał wierny model chaty pionierskiej, zręcznie z kłód postawiony i uwieńczony mechami o długim, jedwabnym włóknie, z których kraj ten słynie.

Pomiędzy budynkami przez obce mocarstwa postawionemi wspomnieć wypada dom angielski, w stylu z epoki królowej Elżbiety, o okienkach misternie w olów oprawnych. Braknie mu tylko bluszców, by przypominał cieniste, wygodne, pełne komfortu gospody stariej Anglii. Dom szwedzki, model szkoły ludowej, można nazwać najlepszym okazem europejskiej ciesielki tu przyslanym. Spojenie kłód tworzących go i fryzy drewniane nad wrotami i oknami tylko Japończycy zdołaliby naśladować.

Dom komisarzy japońskich i bazar urządzony dla przekupniów, którzy tu, jak w Wiedniu, zbywają za drogie pieniądze drobiazgi poczęści własnej roboty, poczęści uchodzące za japońskie, chociaż przez Yankesów sklęjone, przysłano tu w częściach z Jokohamy. Zręczność rzemieślników małych i smagłych i kształty ich narzędzi niemniej zdziwiły Yankesów, jak ongi Wiedeńczyków. Sumiennie mówiąc, pawilony amerykańskie i europejskie wyglądają jak straszdyła, obok azyatyckich domków, spojonych bez ówieków, pionów i cyrklów, bez kierownictwa uczonych architektów.

Hiszpania także ma dość kształtny pawilon, w którym mieszkają żołnierze wybrani z jój korpusu inżynierów, czuwających nad hiszpańską wystawą w głównym pałacu. Gromadka Żydów syryjskich postawiła budę, gdzie sprzedają paciorki, krzyże, laski i t. p. z oliwnego drzewa, po bajecznych cenach. Tubyłec skwapliwie kupują te drobiazgi, wierząc jakoby je zrobiono z gałęzi oliwek, pod któremi Zbawiciel modlił się w Gethsemane.

Grecy i Niemcy, za Turków przebrani, mają, jak w Wiedniu, kawiarnię, gdzie niemiłosiernie zdzierają za naparstki kawy i hausty nargilowego dymu. O tych i podobnych wydrwigroszach wspominać niewarto.

Fabrykanci skór amerykańskich postawili duży pawilon, dla pokazania swych wyrobów. Nie znalazłszy w nim skór europejskich, nie mogą nie powiedzieć o stosunkowej wartości tutejszych i zaatlantycznych okazów. Później, gdy rossyjskie juchty obok amerykańskich się pokażą, wspomnę raz jeszcze o tym pawilonie.

Bardzo ciekawy widok przedstawia tuż za pawilonem maszyn, gmach poświęcony fabrykowanemu szklanych towarów, w którym czeszy kunsztmistrze wyrabiają, w oczach gości, najrozmaitsze figielki szklane, chciwie kupowane, jako wspomnienia z wystawy. Dom ten ma zarazem piec hutniczy i inne przybory, fabrykując, oprócz ozdób, rzeczy pożyteczne. Cały proces topienia, dęcia, szlifowania, kolorowania i matowania wszelkiego rodzaju szkieł przedstawia się tu dokładnie.

Piwowarzy w niemniej systematyczny sposób popisują się wyrobem piwa niedaleko od gmachu rolniczego. Mają oni duży browar, ze składek postawiony, gdzie odbywa się cały proces, przez jaki jęczmień i chmiel przejść muszą, zanim blyszcząc jak bursztyn, wpłyną do oceanu teutońskich gardzieli. Nie będąc piwowarem, poświęciłem się, podczas mych odwiedzin w owym browarze, studiom nad tą ostateczną fazą przemysłu niemieckiego. Usiadłszy na beczce mogącej iść w zawody z hejdelberską, nie ruszyłem się z miejsca, póki karilon dzwonów wystawowych, co wieczór o godzinie szóstej grywających jakieś arye, nie kazał mi ruszać do domu.

#### WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

Przegalopowawszy wszystkie oddziały wystawy pędem amerykańskiego turysty (tym istotom dziwnym dwie doby przebyte w Filadelfii wystar-



czają zwykle na obiegnięcie całej wystawy, powiedzenie że jest *a big thing*, wielką rzeczą, i powrót do domu, z głową chaotycznie zapełnioną kaleidoskopem nawpół widzianych rzeczy), przystępują wreszcie do wzmianki o obrazach i rzeźbach, zgromadzonych w pawilonie pamiątkowym. Jeżeli sprawozdanie moje z innych oddziałów wystawy wyda się komu niedostatecznym, o ileż trudniej mi będzie dać wam jakiegokolwiek wyobrażenie o liczbie i różnorodności przysłanych tu okazów pendzla i dłuta!

Zapewne nigdy nie zgromadzono w jednym punkcie tyle utworów tego rodzaju. Niema narodu posiadającego artystów, chociażby najmierniejszych, co by nie zapełnił tu przestroniej sali, często zaś salonów kilku, od góry do dołu ich dziełami. Ogromny gmach z granitu, szkła i żelaza, postawiony kosztem miliona dolarów na pomieszczenie tej wystawy, nie wystarczał jeszcze wymaganiom wystawców; zbudowano więc za nim aneks niemiejszy od pałacu, gdzie wysypano całego świata... chciałem powiedzieć arcydzieła; ale niestety! niema tu arcydzieł: dobrych dzieł mało, mierności cokolwiek, nędzoty najwięcej.

Pomiędzy nawąłem tej ostatniej trudno odnaleźć rzeczy opisu godne. Szukanie za nimi móżną jest pracą. Tu gdzie widz, znużony patrzeniem na warzące maszyny, na szorstkie dowody konkurencji i walki o byt pomiędzy przemysłowcami, powinienby znaleźć odpoczynek, tylko zawód go czeka. Zamiast zbioru najpiękniejszych dzieł ludzkich, znajduje bazar wszystkich utworów, którychby w europejskich salonach żadna akademia powiesić nie śmiała, ani żaden znawca nabyć nie raczył. Odpaleni w wielu miejscach pseudo-artycyści, znaleźli wreszcie w Filadelfii pole do popisu. Ztąd każdy rzetelny miłośnik sztuk pięknych złe wyciąga wrażenie z pawilonu pamiątkowego. Nawet wyborna wystawa angielskich obrazów i arcydzieł spotykane w salach innych narodowości zatrząć go nie zdołają, z tej prostej przyczyny, że mnóstwo mierności psuje efekt całej wystawy. Gdyby dyrekcya pawilonu była posiadała dosyć estetycznego sądu, by przebrać przysłane jej materyały, i szczyptę odwagi, by odrzucić trzeciorzędne okazy, gmach pamiątkowy byłby tém rzetelnie, czém, wedle planu wystawy, miał zostać—jej perła i ozdoba.

Sam pałac, którego architektoniczną piękność cokolwiek przesadnie opisano w Europie, uszedłby jeszcze. Lecz, jakby dla dowiedzenia że Amerykanie nie mają pojęcia o wymaganiach smaku, zepsuto jego fasadę postawieniem przed nią dwóch olbrzymich pegazów, prowadzonych przez muzy, wyglądające jak niemieckie dziewczki wiejskie. Koniska te, złożone z kawalków śpiżu spojonych niezgrabnie, nawet z Wiednia wypędzono. Kupiwszy je na wagę metalu, pewien wspaniałomyślny Yankes obdarzył nimi wystawę, ku zawstydzeniu pałacu, którego oklepany styl i bez podobnie brzydki dodatków nie zachwyca gości.

Minawszy szczęśliwie te potwory skrzydlate, wchodzimy do sali, zajmującej środkową część pawilonu, o wspaniałych rozmiarach i dobrze oświetlonej. Mimo tych dobrych stron, widok jej ścian tynkowanych, skąpo obrzuconych fryzami bez smaku i godłami spowszedniałymi przez nieustanne używanie w całej Ameryce, przejmuje nas dreszczem. Gdyby przez rotundę nad głowami naszymi wiano do niej, zapomocą szkieł kolorowych, cokolwiek barwy, gdyby ozdobiono nagie jej mury choć kilkoma obrazami, zupełnie inaczej by wyglądała.

Do ujemnego wrażenia przyczynia się niemało i grupa złożona z bawołu, figury żeńskiej nagiej jadącej na nim, i kilku innych prowadzących zwierzę. Jakiś patryotyczny Yankes ukłcił ją z *terra cotta*. Alegoryczny ten utwór, czy potwór, tak trafnie określa Amerykę (co artysta zamierzał uczynić) że ja i inny nasz rodak, już tu od lat 40 bawiący, choć znamy doskonale godła Zjednoczonych Stanów, wzięliśmy ją na pierwszy rzut oka za Jowisza unoszącego Europę. Rozmiary kolosalne tej grupy szkodzą sali i pod innym jeszcze względem, gdyż wobec nich ona karleje.

Włoch jakiś, mało znany światu, dopełnił muzeum okropności w tej sali zebrane popiersiem ogromnym Waszyngtona, ustawionem, jak na koniu, na orle amerykańskim. Jest-to gipsowy model proponowanego przez owego Włocha odlew na cześć jubileuszu narodowego—bodaj nazawsze też pozostał modelem! Cudotwór ten stoi u stóp jednej kolumny, przed arkadą do sali wiodącą. Dla zepsucia wszelkiej symetrii, postawiono pod przeciwną kolumną posąg łucznika, naturalnej wielkości, lecz wyglądającego jak lalka, w porównaniu z olbrzymim sąsiadem.

Jedyną rzetelną ozdobą sali jest precudna, ogromna waza porcelanowa, z muzeum w Sevres, uważana za najpiękniejszy okaz tego rodzaju, przysłany z Europy.

Plan wnętrza pawilonu sztuk pięknych o wiele przewyższa jego powierzchowność. W wysokich, przestronnych, wybornie oświetlonych salonach, najlepsze zbiory obrazów znalazłyby godne siebie pomieszczenie.

Z katalogiem w ręku, niestety, dotąd niekompletnym, przebiegałem te salony przez dni parę. Nie uważając się za znawcę, lękałem się z początku wyrazić, jak niemiłe na mnie wywierały wrażenie. Tłum tutejszy, co nigdy nie pięknego nie widział, byłby mi może zarzucił brak patryotyzmu amerykańskiego, gdybym się był odważył na krytykowanie tej części wystawy. Z czasem jednak nawet reporterzy amerykańscy poczęli się poznawać na rzetelnej jej wartości; odważniej więc przyznają się i ja, że żałuję połowy czasu zmarnowanego na jej oglądanie. Z dobrym katalogiem lub przewodnikiem obeznanym z imionami lepszych mistrzów, którzy raczyli się tu zaprezentować, bardzo prędko możnaby wszystko widzenia godne w niej znaleźć i obejrzyć.

Jak w pałacu głównym, tak i tu Niemcy najprzód nasuwają się wzrokowi gości przybywającego od wchodu. Nie chcąc i teraz popaść w podejrzenie o szowinizm, zaczynam krótkie sprawozdanie moje o ich wystawie obrazów słowami Trybuny nowojorskiej, wielkiej ich przyjaciółki, „Niemcy przedstawiają się bezeznie, powiada ten poważny dziennik, w galerii obrazów. Ani jeden malarz znany poza obrębem ich kraju nie raczył obesłać wystawy. Do tej negatywnej krytyki dodajmy pozytywną, że udało się im prześcignąć w Filadelfii ów brak taktu w Wiedniu już okazany, próbkami blagi dotyczącej ostatniej wojny.“

Ustęp ten Trybuny odnosi się do bohomasów, wymalowanych na uwiecznienie sedańskiej kapitulacji. Dwa takie cuda widziałem na ścianie, tuż obok sali francuskiej. Przy wieszaniu omal do guzów nie przyszło pomiędzy robotnikami obu narodowości. Cóż wypada myśleć o narodzie, którego kwiat, artyści-malarze, nie mają dość taktu, by nie psuć harmonii wystawy powszechnej drobnotkowem sileniem się na dokuczenie sąsiadom? Te Sedany przy drzwiach, do francuskiego salonu wiodących, jakby miejsca gdzieindziej dla nich nie było, są świadectwem nie zwyczajnym, lecz rubasznosci teutońskiej, tém godniejszym potępienia, że nie mają nawet wartości artystycznej.

Ogół niemieckich obrazów nie o wiele też lepszy jest od Sedanów. Zdaje się że wystawa mnichowska tegoroczna przeszkodziła znakomitemu mistrzom teutońskim w obesłaniu Filadelfii. Kilku z nich pokazuje tu mierne swe utwory, zatrzymawszy snadź lepsze w domu. Do godniejszych uwagi płócien tu przysłanych wypada zaliczyć Meisnera „Ewę z jagniętami“, Ksylandra „Widok morski“ i pełen humoru obraz Hirschfeldera, nazwany „Krzyżyk zgubiony.“

Oddział francuski, choć zaniedbany przez najświetniejszych mistrzów, wygląda obok niemieckiego, jak raj przy czyscu. Perłą tego zbioru jest bezwątpienia portret panny Croizette, w amazonce, na najpiękniejszym koniu, jakiego kiedykolwiek widziałem na płótnie, pendzla Karola Wiganana. Piękna amazonka odpoczywa po przejeździe wzdłuż piasków nadmorskich, z rękami złożonemi na kolanie, rozkoszując się powiewem zefirów poruszających jej welon i widokiem oceanu. Portret ten, naturalnej wielkości, olbrzymieje na

tle obszerném, morze i niebo wiosenne przedstawiającém.

Drugim francuskim obrazem, licznych ściągającym widzów, jest „Rispa, broniąca ciał swych synów (1). Powiedziano mi że utwór ten wielki uzyskał rozgłos w Europie. *De gustibus non est disputandum*. Widok siedmiu ciał na krzyż wbitych, w postawach wyrażających śmierć okropną, której męczarnie można wyczytać z muskułów i stawów konwulsyjnie wykręconych, nie przemawia do serc amerykańskich. Publiczność tutejsza z grozą patrzy na to okropne widowisko, podziwia wyraz twarzy rozpaczającej matki, gotowej do wszystkiego, byleby ochronić trupy swych dzieci od zniewagi, i szybko odwraca się do welszych przedmiotów.

Inny obraz, chwalony przez jednych, ganiony przez drugich, ściąga tu zawsze widzów. Jest-to śmierć Cezara u stóp posągu Pompejusza, utwór Clémenta. Pozy jednak senatorów i morderców zdają mi się nienaturalne. Jeden z nich, mierzący w powalonego dyktatora, ugodziłby w podłogę, gdyby dokonał ciosu. Wyraz twarzy konającego wodza pefen jest grozy, oburzenia i rezygnacji. Głowy stanowią też główną zaletę obrazu. Koloryt jego zdał mi się zimny, draperyom brak powiewności.

Perrault przysłał milutką wieśniaczkę, śpiącą na snopkach, obok obiadu przyniesionego dla ojca. Nóżki jej zamiękkie może, twarzyczka zanadto mlęczna i różana, na dziewczęcę bez obuwia i kapelusza po łanach biegające. Piękność tej Paryżanki, przebranej za chłopkę, wabi jednak ogół.

Edmund Lebel przedstawił ekliwy przedmiot, oddany jednak po mistrzowsku. Jest-to sklep rzymskiego rzeźnika, wabiącego dwie kobiety, by kupiły prosiaka. Krwawe głowy nierogacizny walają się na ziemi, ku wielkiej radości rodziny, z koguta, kwok i kureząt złożonej. Wszystko to odbywa się w cieniu poważnej, starej kamienicy. Za nią, w pełnym świetle słonecznym, wznoszą się skały i wieniec białych ruin kapitolńskiego wzgórza.

Tak wysoko nadedrzwiemi, że imienia artysty odezwać nie mogłem, wisi piękna Wenus, żeglująca na muszli morskiej. Z draperyi urządziła żagiel i pod nim kłęcząc, zbliża się do ładu. Koloryt tego obrazu zbyt żywy może, lecz kształtów Wenery nie powstydzilby się najlepszy malarz.

Z pomiędzy obrazów rodzajowych, najlepiej mi się podobała scena familijna, przez Villebessey, celująca wdziękiem. Inny, nazwany *La blanchisseuse*, pomimo drobnych swych rozmiarów, zwrócił uwagę znawców. Jest on pendzla Emila Saintain.

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika paryzka.

Wiosna i wspomnienie o Villepreux.—Słówko o Wirgiliuszu i jego Georgikach, z powodu artykułu Ateneum o romantyzmie.—Carogrodzka tragedia i angielskie nożyczki.—Sprowadzenie do Francji zwłok Ludwika-Filipa i innych członków rodziny orleańskiej.—Pogrzeb ich w kaplicy w Dreux.—Śmierć pani George Sand, kilka słów wspomnienia i jej pogrzeb w Nohant.—Pan Renan i jego nowe dzieło „Rozmowy filozoficzne.“—Rozprawa p. d'Avrila o alfabetcie staro-słowiańskim, czytana w Akademii paryzkiej. (des Inscriptions et belles lettres).—Pan Kleczkowski i jego przewodnik do nauki języka chińskiego.—Otwarcie biblioteki publicznej w Kairze; rzadkość i ważność tego zbioru manuskryptów arabskich.

W czerwcu 1876 r.

Podróżowaliśmy dotąd tak spokojnie! Z książką w ręku, z uśmiechem na ustach rozprawialiśmy o tém co nas otacza, sądziliśmy o ludziach i o ich dziełach *sine ira et studio*, a chociaż niebo było chmurne, chociaż dnie czerwcowe wyglądały tego roku ponuro i zimno—gawędziliśmy to o tém, to o owém, nie troszcząc się o jutro. *Carpe diem!* powtarzaliśmy sobie wzajemnie i gwarzy-

(1) Reprodukcją tego obrazu Tygodnik nasz pomieścił przed kilku miesiącami. (Przyp. redak.)



liśmy ze sobą, kochany czytelniku, wesoło i w najlepszej komitywie.

Nie zakłócił nam tego pokoju nawet artykuł Ateneum o romantyzmie, chociaż jestem romantyk nam romantykami, i chociaż, muszę się przyznać, że nic miłszego na świecie dla mnie, jak patrzeć na siwą, długą brodę naszego wieszczego Bohdana, słuchać jego pieśni, co jak prawdziwy hymn tysiąca słowików rozbrzmiewa to smutno, to wesoło po wzgórzach i laskach Villepreux.

A co to za Villepreux? zapytasz mię. Czytelniku kochany, dziś to moja tajemnica jeszcze; ale ci przyrzekam, że wkrótce, za dni kilka, pójdę tam znowu powitać z szacunkiem starego przyjaciela i opowiem wam jakieś tam byli... miód i wino pili... po brodzie się sączyło... a w gębie sucho było... Do przyszłego więc listu.

Ale, ale, mówiąc o tym artykule Ateneum, niechże wyrażę tu p. Adamowi Gorayowi zbiorową naszą wdzięczność za dzielną i raźną odpowiedź jego w Tygodniku. Ale *pięć liter*, to może już zanadto. Bo mnie się zdaje, że autor artykułu o romantyzmie więcej czytał, niż się nauczył, i to czytał nieporządnie, bez ładu; chociaż gotów się jestem założyć, że nie czytał nawet w zupełności poetów, o których rozprawia jak z katedry.

Ja, chociaż jestem zagorzały romantyk, nie rzucam przecież starych mych przyjaciół i klasyków znam na wylot, a chociaż często *chodzę z Irydionem pod pachą*, nie zapomniałem łaciny.

Ztąd muszę tu zrobić jedną tylko uwagę. Autor, z lekkim uśmiechem wspominając o utworach klasycznych dydaktycznej poezji, pomieszał razem Georgiki Wirgiliusza, ze Sztuką rymotwórczą Horacego, z Ogrodami Dellila i t. d. i t. d., co dla mnie jest dowodem, że nie czytał Georgik Wirgiliusza, przynajmniej w oryginale; zrozumiałby bowiem wówczas, że chociaż Wirgiliusz w pierwszych zaraz wierszach powiada, iż chce opisać jak to się uprawia ziemia i jak się prowadzi rolnictwo, prędko jednak rozwija swe skrzydła labędzie (używam tej przenośni, ponieważ go *labędziem mantuańskim* przewano), podnosi się wyżej nad ten skromny poziom i opiewa wdzięki przyrody z takim uczuciem i wzruszeniem serca, jakich nie spotykamy u żadnego ze starożytnych poetów. Wirgiliusz, jako śpiewak Georgik, najbardziej się zbliża do znaczenia, jakie my dzisiaj przywiązujemy do miana poety. To powiedziawszy, wracam do początku.

Spokojnie więc przebiegaliśmy manowce zwyczajnego życia... kiedy naraz zbudzeni zostaliśmy jakby uderzeniem piorunu. Ze Wschodu wypadł grzmot gwałtowny, który i was musiał nie mniej zadziwić, chociaż lepiej od nas znacie carogrodzkich haremów tajniki. Niepierzony to jest wypadek i niepierwsza tragedia, odegrana nad brzegami Bosforu. W tej przecież znalazł się nowy, cywilizacyjny żywioł—nożyczki! i to dziwniej, szczególnej formy, z gałeczką na końcu jednego ramienia. Wyrób to zagraniczny, bo w Turcyi nie fabrykują jeszcze tak wykwinnych narzędzi. Nożyczki te musiały być przynajmniej z Sheffield... Jakkolwiek bądź, myśl to zupełnie nowa, zastosowanie sprytne i zaraz to daje uczuć, że Turcy zamykają do szafy stare, zużyte postronki jedwabne i są widocznie na drodze postępu. To jedno więc tylko zanotujemy tutaj, reszta należy do polityki, a to rzecz nam obca.

Tymczasem, kiedy w Stambule chowają z wielką pompą zeszłego ze sceny sułtana, tu we Francyi, cichaczem i w milczeniu, sprowadzają całą kolekcję nieboszczyków z królewskiej rodziny. Nie tak dobrze nie tłumaczy jakiegobądź wypadku czy zdarzenia, jak raport urzędowy. Tym, coby chcieli wątpić o prawdziwości słów moich, przypomnę sławny raport wójta pewnej włości z nad Buga, gdzie skutkiem przerwanój wypadkiem liny, prom przewozowy zatonał. Urzędowy raport, zdając sprawę z tego wypadku, opiewał: „Utoneło czterech ludzi, dwa konie, jeden Żyd i stara baba żebraczka.“

Oto wierne, dosłowne tłumaczenie, oficjalnego raportu, co do pogrzebu królewskiej rodziny we Francyi:

„Dreux (depart. Eure et Loire), 9 czerwca

1876 r. Mam honor uwiadomić, że pociąg nadzwyczajny z Honfleur'u przybył dziś do stacyi w Dreux o godzinie 7 zrana, ze zwłokami: 1) exkróla Ludwika Filipa; 2) królowej Maryi-Amelii; 3) księżny orleańskiej; 4) księżny d'Aumale; 5) księżny Kondeuszowej; 6) nakoniec *trojga dzieci*—razem osiem ciał zmarłych.

„Zwłokom tym towarzyszyła w pociągu część tylko rodziny Orleanów, reszta rodziny przybyła do Dreux innym pociągiem nadzwyczajnym z Paryża, o godzinie wpół do siódmej zrana. Trzydzieści sześć koni i dziesięć powozów (przedsiębiorstwa pogrzebowego z Paryża), sprowadzonych w wigilią, czekało w ordynku na dziedzińcu stacyi i opuściło stacyą, udając się do kaplicy (!) o godzinie 7 i minut 50.

„Porządek zachowano największy, i nie było żadnej manifestacji; ale, chociaż ten obchód miał zupełnie charakter prywatny, ludność z miasta zebrała się tłumnie około stacyi i wzdłuż drogi którą się udał pogrzebowy kondukt.

„Nie było żadnego rozwinięcia siły wojskowej; tylko kapitan żandarmeryi ze swoim oddziałem utrzymywał porządek, a sześciu żołnierzy piechoty z podoficerem, w płaszczach, znajdowało się wewnątrz stacyi.

„Pociąg nadzwyczajny opuścił stacyą w Dreux, o godzinie pierwszej po południu, odwożąc do Paryża całą rodzinę Orleańską, z bardzo małą świtą towarzyszącą jej osób.“

To krótko, zwięźle i jasno. Nie potrzeba najmniejszego objaśnienia i każdy może ztąd wyprowadzić wniosek, jaki mu się zdawać będzie najlepszy. Dodajemy tylko, że zwłoki te spoczywały dotąd w podziemiach kaplicy w Weybridge w Anglii.

Mówiąc o zmarłych, nie zapomnijmy o tej, której imię w ciągu ostatnich lat czterdziestu napelniało świat cały i która zgasła, po krótkiej chorobie, w posiadłości swojej Nohant, w departamencie *de l'Indre*, w środkowej Francyi. Pani Aurora Dudevant, znakomita autorka, znana pod przybranym nazwiskiem George Sand, której życie pełne było burz, a powieści pełne najdziwniejszych i najzuchwalszych teoryj, przeżywszy lat 72 (rodziła się bowiem w 1804 roku), umarła 8 czerwca.

Chociaż wszystkie prawie dzieła nieboszczki, zaczynając od *Indiany*, aż do ostatniej powieści ogłoszonej w *Revue des deux mondes* zeszłego roku, są dziełami tendencyi, pisanymi w celu rozwinięcia i rozpowszechnienia pewnych socjalnych teoryj, niezawsze zgodnych z prawidłami przyjętej moralności i towarzyskiego porządku—chociaż, powiadam, dzieła te, liczne niezmiernie, miały wdzięk wielkiego artyzmu, i co do układu, i co do języka szczególnie—pani Sand przecież nie stworzyła szkoły; nie zostawiła ani uczniów, ani uczenie, dlatego właśnie może, że jak w przeszłości nie było żadnej kobiety, którąby można z nią porównać pod względem talentu pisarskiego, tak i w przyszłości niełatwo znajdzie godnych siebie naśladowców; bo odkładając na stronę zarzuty co do fałszywych może teoryj, co do gwałtownych sposobów rozwiązania pewnych towarzyskich kwestyj—zostaje przecież nietknięty, jaśniejący jej talent autorski, który pod względem piękności opisów, bogactwa wyrażen i subtelności rozbioru uczuć i wrażeń, wreszcie wykwinności czystego jak kryształ, płynnego, poprawnego języka, nie ma sobie równego we Francyi nie tylko wśród płci pięknej, którą za moje śmiałość pokornie przeproszam, ale nawet i wśród brzydszej połowy rodu ludzkiego.

Mówiłem że życie jej było burzliwe bardzo. Znane są światu stosunki jej niegdyś z Alfredem de Musset, a potem z naszym Szopenem, stosunki które w części swoim sposobem opowiedziała w *Listach wędrowca* (*Lettres d'un voyageur*) i w opowiadaniu pod tytułem *On i ona*, w *Revue des deux mondes*, w 1856 czy 1857 roku. Rozstanie się i proces z mężem, te głośne, zbyt głośne stosunki i zajścia, ta niesłychana śmiałość w wygłaszaniu najzuchwalszych, najdrożniejszych teoryj socjalnych, politycznych, a nawet religijnych—dawały jej pewną sławę, straszną, można powiedzieć. Otóż pani Sand w życiu prywatnym, w o-

bejściu, w stosunkach towarzyskich nie wykazywała najmniejszego śladu ani tych teoryj, ani tych gwałtów, które istniały jedynie w jej wyobraźni i w jej kałamarzu.

Pani Sand, w *Historji swojego życia*, mówiąc o sobie, powiada: „Cyrkulacja krwi u mnie jest powolna i wyrażenie: *krw zimna* maluje fizycznie i moralnie moją organizacyą.“ I tak było wistocie. Spokojna, małomówna autorka Lelli była prostą bardzo i niewymuszoną w całym swoim obchodzeniu się. Od lat dwudziestu osiadłszy na prowincyi, w Nohant, w starym, rodzinnym domu, zajęta pracą i wychowaniem dzieci i wnuczków, świadczyła wiele otaczającym ją wieśniakom. Żyła z nimi, można powiedzieć, wspólnym życiem i żalowana była serdecznie po śmierci. Zostawiła syna Maurycego Dudevanta, który przecież nosi nazwisko przybrane matki, Sand—i córkę zamężną, ale separatkę, z rzeźbiarzem Clesingerem. W ostatnich czasach zajmowała się wychowaniem starszej córeczki syna swego, Aurory, którą namiętnie kochała. Pogrzebano ją na skromnym cmentarzu wiejskim w Nohant, w grobie gdzie już spoczywają jej rodzice i wnuczka, dziecię Clesingerowej. Pochowaną została z zachowaniem obrządków religijnych, przy licznych udziale sąsiednich wieśniaków i przybyłych z Paryża przyjaciół, pomiędzy którymi znajdowali się: ks. Napoleon (Hieronim), Dumas, Renan i t. d. Dwie niedokończone powieści i dwa zaczęte dramata zostały w papierach nieboszczki...

Wspomniałem imię Renana; więc póki go trzymam na dzióbku mojego pióra, muszę wam powiedzieć słów kilka o jego nowej książce, pod tytułem: *Rozmowy i ulamki filozoficzne*. Jest to tom gruby, drukowany na pięknym papierze, o 350 stronicach; ale część nowa tego tomu „Rozmowy“, ledwie połowę książki zapełniają; reszta są to rzeczy drukowane już dawniej, częścią w *Revue des deux mondes*, częścią w innych przeglądach i dziennikach.

Rozmowy!... przypomina to Platonowego *Pludona*; ale też całe podobieństwo ogranicza się na tytule tylko. Styl łatwy i piękny, co jest właściwością tego pisarza, pociąga do czytania, nawet niechętnych, a umie zachować pozór głębokości, tam nawet, gdzie płytkość jest widoczną.

Są to metafizyczne zaciekania się nad naturą rzeczy i poszukiwania sposobu obejścia się bez Boga, a więc dążenia nihilistyczne, ale zaprawione pewną powściągliwością, niepozwalającą autorowi postawić ostatniego wypadku, z brutalstwem pierwszego lepszego warchoła. Ale z tego właśnie względu jest to może tém szkodliwsze i niebezpieczniejsze, im gładziej i potulniej co do samej formy. Wistocie, pomimo wszelką ostrożność autora, wypadek ostateczny tych niby niematerialnych przypuszczeń jest: że Bóg pana Renana, to inny Bóg wcale niż Ten, w którego wierzyli ojcowie nasi i w którego wierzymy my sami. Spodziewam się, że w Polsce jeszcze nikt mi tego nie zaprzeczy. Bóg jego, jest to najprzód jakaś niewidoma i niewiadoma siła, zapomocą której świat z wiecznego pokoju przeszedł do wiecznego ruchu. Następnie—jest to sumienie—a nakoniec... popęd płciowy. Nie zżymajcie się, czytelnicy! Nie myślcie że to mój wynalazek. Jest to pewnik, który pan Renan wysnuł ze swoich wielkich filozoficznych rozmyślań.

Pan Renan, szuka swojego stanowiska na punkcie pośrednim, pomiędzy szkołą pozytywistów, a starą, pocziwą tradycją wiary, którą zaczerpnął w seminarjum w Issy, a później u ś-go Sulpicyusza w Paryżu. Dlatego znajdujemy w tych rozmowach uderzające i ciągle sprzeczności. „Nie odrzucam, powiada gdzieś, modlitwy—jest to akt uwielbienia, radości i miłości—ale odrzucam modlitwę interesowną!“ A któż to powie, na czyich ustach i w czyj sercu jest ona interesowna?... Rozwijając dalej myśl swoją w tym względzie dodaje: „Nikt jeszcze nie sprawdził nigdy, czy modlitwa jego była skuteczna.“ Zkądże ten pewnik, tak absolutny?... „Świat bez Boga, powiada w ostatniej rozmowie, jest to rzecz okropna. Nasz świat w tej chwili jest takim, ale nie pozostanie



## NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

takim nazawsze. " O jakim to świecie prawi nam filozof? Czy o świecie paryzkim? czy tylko o świecie w którym żyje pan Renan? That is the question!...

Ale dosyć tych cytat. Sprzeczność na każdej znajdujemy karcie i widoczną jest rzeczą, że rozstawszy się z wiarą, p. Renan błądzi w ciemnościach... bo jego teorye tak błahą i dziecinną są mrzonką, że nie można ich nawet postawić obok fantastycznych, ale silnych zarysów St. Simona, Babeufa, Fourriera i innych.

Mówiąc o nowych książkach, należy tu wspomnieć rozprawę p. d'Avrila *O alfabecie słowiańskim*. Autor należy do ministryum spraw zewnętrznych, jest ministrem pełnomocnym i członkiem komisji ustanowionej dla uregulowania ujścia Dunaju. Ożeniony z Serbką, zajmuje się umiejętnie i czynnie rzeczami słowiańskimi. Rozprawę jego czytał w Akademii (des Inscriptions et belles lettres) członek tej Akademii, uczony hellenista p. Miller. Rozprawa ta jest częścią wielkiego dzieła, które wkrótce będzie ogłoszone drukiem p. t. „Historia religii u Słowian.“ Autor jest katolikiem, a dzieło jego oparte na obszer-nych i gruntownych poszukiwaniach. W rozprawie o alfabecie, autor stara się udowodnić, że alfabet głągoliczki jest starszym od cyrylicznego i daje na to dowody, nowe, bo czerpane w nieogłoszonych dotąd drukiem rękopismach.

W téjże Akademii złożono dzieło Polaka p. Kleczkowskiego, napisane po francuzku pod tytułem „Kurs stopniowy i zupełny języka chińskiego, używanego w piśmie i mowie.“ (Cours gradu-el et complet de Chinois parlé et écrit). Pan Kleczkowski, dawniejszy sekretarz-tłumacz przy poselstwie do Chin pana de Lagrénaiss, następnie minister pełnomocny francuzki w Pekinie, jest dziś profesorem chińskiego języka w szkole języków żyjących w Paryżu. Znacomity to synole, szczególnie co do języka będącego w powszechnym używaniu, a dzieło jego, wydane z przepychem, jest jednym z najlepszych podręczników, jakimi mogą się posługiwać ludzie poświęcający się trudnej nauce języka chińskiego. Przynosi nam to niemałą chlubę, iż rodak nasz potrafił zająć tak ważne stanowisko w uczonym świecie i zaszczytnie utrzymać chwałę imienia polskiego.

Mówiąc o chińskim języku, nie mogę nie wspomnieć jednej z ważniejszych reform, jakie się w ostatnich czasach dopełniły na Wschodzie. Oto tam właśnie, gdzie Omar palił bibliotekę ostatnich Faraonów Egiptu i ich następców, tam gdzie fanatyzm Islamu jeszcze przed siedmiudziesięciu laty w całym swym gorzał blasku—oto w Kairze, otwartą została, z rozkazu wice-króla, publiczna biblioteka. Składa się ona z kilkudziesięciu tysięcy tomów, po największej części manuskryptów arabskich, które próchniały dotychczas bez żadnego użytku w zapomnianych kątach meczetów, lub medresse (szkoły muzułmańskie przy meczetach) w Kairze i w Aleksandryi. W ostatnich czasach, z rozkazu wice-króla, przyłączono do tej biblioteki zbiór niezmiernie rzadki i cenny rękopisów, które były własnością zmarłego brata jego, Mustafy Fazil-baszy. Dla badaczy rzeczy wschodnich, dla znających dobrze język arabski, nieoszacowane to źródło informacji i nauki, a pod względem kaligraficznym znajdują się tam modele średniowieczne, jakich nie posiada żaden zakład na świecie. Wiadomo jaką rolę Arabowie odegrali w naukach pod panowaniem kalifów bagdadzkich. Wielu z greckich pisarzy przechowało nam jedynie tłumaczenia uczonych Arabów. Kto wie, jakie jeszcze skarby nauki dadzą się odszukać dziś, kiedy ruch nadany w Kairze zdaje się do coraz nowych prowadzić ulepszeń tę ważną gałąź wiedzy ludzkiej, którą nazywamy bibliografią.

Na kartce stało napisane ołówkiem:

„Kochany i zbyt szczęśliwy kapryśniku! Wracam w tej chwili od pani Ireny, gdzie się wszyscy o ciebie ogromnie turbują, więc może niż zasługujesz. Już rozumiem twoją wczorajszą hipokondryę. Musisz być na bakier z pewną śliczną panną. Ale nie bój się, o ile mogłem zmiarkować, już się musiała przeprosić, i będziesz pewnie najwdzięczniej przyjęty. W każdym razie jesteś oczekiwany, pani Irena prosiła mię, aby ci to wyraźnie powiedzieć, a co więcej, oddać własnoręcznie jej zaproszenie. Oddać nie mogę, więc wszystko zostawiam u szanownej pani Cerberowej, a ciebie polecam opiece św. Cecylii,

jako jej czieciela a twój przyjaciel  
Benedykt Bońko.“

Do kartki dołączony był bilet wizytowy pani Ireny Pełkowej z dopiskiem:

„Uprzejmie prosi pana Wiesława Różyca, aby zechciał przybyć do niej na obiad, dziś o godzinie piątej.“

Wiesław siadł bez namysłu i pod piérwszym natchnieniem skréślił następną odpowiedź:

Szanowna pani!

„Bardzo żałuję, że nie mogę stawić się na jej wezwanie.—Nowy zwrot zaszedł w moich losach, myślach i uczuciach.—Pani mię zrozumiesz swoim wielkim a zbolalém sercem i raczysz uwierzyć, że choć nazawsze oddalony, nie przestanę nieść jej czei najgłębszej, jako uniożony sługa

Wiesław Rózyca.“

Pospiesznie zapieczetowawszy, wybiegł na ulicę i chciał oddać list posłańcowi miejskiemu.

Ale ponieważ jest dowiedzionem, że każdy spotka posłańca, tylko nie ten co go szuka, szedł a szedł, napróżno upatrując, aż znalazł się okilka domów od mieszkania pani Ireny.

Już rozmyślał czy nie oddać listu miejscowemu stróżowi, kiedy spostrzegł pana Tytusa. Wycho-dził właśnie z tej bramy, szedł prosto ku Wiesławowi.

Poznawszy go, rozkrzyżował ręce i witał z uśmiechem wdzięcznym, choć nieco zakłopotanym. Nie zważając na grobowe milczenie siostrzeńca, chwycił go pod rękę, ciągnął ku mieszkaniu pani Ireny i szybko mówił:

— Nakoniec cię zdybuję, niedobry latawczel! Gdzież nam się podziéwasz? Nie widziałem cię od niedzieli. Te panie także się skarżą. Teraz właśnie szedłem do ciebie, myśląc żeś chyba zachorował. A czy się to godzi? My tu wszyscy głowę tracimy od wzruszeń, chcielibyśmy z tobą się niemi podzielić, a ciebie ani na oczy.

— Wczoraj — sucho odparł Wiesław, — cały dzień byłem w domu. Czekałem czy mi kto nie da znaku życia.

— Ty czekałeś? Zkądże taka nowa moda? Czy to młodzi ludzie mają czekać, aż starsi i damy do nich się zgłoszą? To my na ciebie od dwóch dni czekamy i troszkę się gniewamy... No, przynajmniej teraz nie dajże się prosić.

W tej chwili weszli do bramy. Wiesław, stanawszy przeddrzwiami sieni, rzekł stanowczo:

— Przepraszam, ale dalej nie pójdę.

— Cóż to znowu? Czegóż ty się tak dziwnie na mnie patrzysz? Ach... już rozumiem! Tobie nie może pomieścić się w głowie, jakim sposobem ja chodzę do pani Ireny i jeszcze ciebie namawiam? Prawda! Ty nic nie wiesz! Wiesławie, wszystko się odkryło, wszystko się zmieniło. To wielkie szczęście, dla każdego z nas wielkie,—ale może największe dla mego Wiesławka... Już—

dodał, kładąc mu rękę na ramieniu—jakbym cię widział z Cesią przed ołtarzem.

Wiesław, który dotąd trzymał oczy posepnie wryte w ziemię, podniósł je nagle na pana Tytusa, jakby na archaniola głoszącego mu zmartwychwstanie.

— Wuj! Cóż się stało? Cóż się odkryło?

— O! To długa i straszna historia. Nie mogę przecież w bramie jej opowiadać. Pójdź prędko.

Wiesław biegł za wujem na górę. Serce mu było młotem.

W przedpokoju Hubert gawędził po przyjacielsku z Sebastianem, a spostrzegłszy wchodzącego Wiesława, mrugnął na kolegę, mówiąc:—Oto drugie wesele.

W salonie zastali panią Irenę, siedzącą na tym samym fotelu, na którym Wiesław ją widział po raz ostatni i pamiętny.

Dzisiaj Cecylia stała przy niej, układając kwiaty w wazonie.

Na widok Różyca, obie ucieszyły się, bez najmniejszej oznaki zmieszania.

— Przyprawiam paniom zbiega.

— Nakoniec!—odezwała się matka.—Pan tak zapominasz o nas, że aż muszę posyłać wyraźne zaprosiny.

— Wystawcie sobie panie, ten ucieszny chłopiec czekał na nas i chciał abyśmy wszyscy hurmem poszli złożyć mu nasze uszanowanie.

Mimo tych śmiesznych oskarżeń, Wiesław milczał, wodził oczyma po obecnych, nie mogąc zmiarkować do jakiego usposobienia powinien się nastroić.

Nagle Cecylia klasnęła w ręce i zawołała ze śmiechem:

— Aha! Już rozumiem! To ja sama postawiłam pana Różyca w trudnym położeniu. Bał się przychodzić, aby wielkiej tajemnicy na szwank nie narazić. Ale teraz uroczyście zwalnim pana z danego słowa. Możesz pan wszystko opowiadać, tylko ja nie chcę być temu obecna. Biegnę dopilnować obiadu, a żeby panowie nie myśleli że jestem jakąś lafiryndą, co umiemy tylko po ogrodach marzyć.

I dygnawszy niziutko, frunęła za drzwi.

Wtedy wuj wziął siostrzeńca za rękę i przy-prowadzając go przed panią Irenę, powiedział nawpół smutnie, nawpół żartobliwie:

— Oto widzisz osobę, od której dostałem trzeciego odkosza.

W Wiesławie serce, myśl, dusza, wszystkie władze odezwały się jednym chórem radości.

— Więc to o matkę chodziło! Jestem zbawiony!

Nie rozumiał jeszcze jakimi drogami przyszło to zbawienie, dość że przyszło.

Już otwierał usta, już chciał zawołać:—Więc się myliłem? Wybaczenie!—Szczęściem dla siebie i dla drugich, spostrzegł w téjże chwili, jak mocno by ubliżył zacnym i niewinnym osobom, dając im poznać, że mógł je nawet posadzić o fałsz i o zdradę.

Wstrzymał więc niebaczny wykrzyk, ale nie mógł powstrzymać zewnętrznych oznak zawrotnego uszczęśliwienia. Runął do kolan pani Ireny, całował ją po rękach, potem rzucił się w objęcia wuja, który patrząc na niego z podziwieniem, spytał:

— Cóż to, niedobry chłopaku, czy cię tak cieszy że mnie odmówiono?

— Ach gdzież tam, wuj! Ja się tak cieszę... widokiem téj zgody, téj cudownej zgody, o której wątpiliśmy wszyscy. Drodzy państwo, kiedyście się raz pogodzili, wszystko już pójdzie dobrze!

— Pocziwe dziecko! — szepnęła pani Irena, wyciągając ku niemu rękę.

— O, że pocziwe, to ja wiem najlepiej—podchwycił pan Tytus.—To też możesz mu pani zaufać jak własnemu dziecku. Opowiedz mu wszystko.

Zawahala się i zarumieniła, a rumieniec u kobiety, co ma jej wiek i powagę, to zjawisko rozrzucające. Musi być straszna burza za widokiem duszy, kiedy mimo pozornego spokoju, zdradza się taką błyskawicą.

Spojrzała na pana Tytusa i rzekła z lekkim odzieniem wyrzutu w głosie:



— Po prawdzie mówiąc, kiedy siostrzeniec pański słyszał (jak sam pan wyznałeś) ciężkie przeciw mnie oskarżenia, powinien znać i moje usprawiedliwienie. Ale dlaczego ja mam opowiadać? Czy nie lepiej, abys pan sam dokończył?...

— O nie! Ja nie potrafię... za nic w świecie nie mógłbym... Od dwóch dni słyszę opowiadanie tych wypadków, a jeszcze ich sobie nie przyswoiłem dostatecznie... Pojęcia moje zostały zanadto zwiecznione, abym umiał tyloletni fałsz od razu prawdą zastąpić. Mów, pani najdroższa, niech przy tej sposobności i ja raz jeszcze usłyszę twoje żalose, twoje rozdzierające dzieje... to będzie zdrowo dla mojej duszy.

I pan Tytus, siadłszy nieco w oddaleniu, głowę oparł na rękę i oczy zasłonił; zdawał się cierpieć więcej, niż kiedykolwiek.

— Podobno panu już wiadomo—zaczęła pani Irena, zwracając się ku Wiesławowi—że po stracie pierwszego męża długo się wahałam z odpowiedzią na żądanie pana Tytusa.

— Wiem i uwielbiałem szlachetność pobudek pani. Miłość macierzyńska, obawa aby córka nie ucierpiała na podziale uczuć i praw...

— O niech mi pan nie przypisuje więcej zasługi, niż ję miałam. Główną przyczyną wahania była obawa inna... samolubniejsza... Wątpiłam czy jestem prawdziwie i wiernie kochaną. Nie przeczę że i tamte pobudki przemawiały we mnie silnym głosem, jednak nie dosyć silnym, kiedy mogły ucihać. Tak panie, przyszła chwila w której pan Odonicz potrafił się zwycięzko usprawiedliwić z zarzutów ciężających na nim, wymownie trafić mi do serca, tak że wszystkie inne względy ustąpiły.

— Pani zapewne wspomina ów wieczór w podróży?

— Tak, ostatni wieczór przepędzony razem, wieczór złotych marzeń i nadziei, po którym nastąpić miała noc... podobna do sądu ostatecznego, a po niej całe lata, podobna do życia potępieńców. — Jeżeli inajmniejszą chwilę szczęścia trzeba tak ciężko odkupywać, to zaprawdę waga złego i dobrego dziwnie jest na tym świecie odmierzona. Tylko wiara w inne życie, gdzie się wszystkie szale zrównają, może pogodzić z tē, co zwiemy niesprawiedliwością losów. O! niech się jednak nikt nie kwapi z tym śmiałym wyrazem, ze czczemi skargami! Bóg nieraz jeszcze i na tym świecie daje tryumf prawdzie. Oto i ja, przed śmiercią, doczekałam się chwili niewinnienia i mam przedsmak lepszego żywota, kiedy to aniołowie będą za nami świadczyli. I za mną świadczył mój anioł, moje niezrównane dziecię.

Wzruszenie głos ję przyciszyło. Po chwili, jakby wracając do ziemi, uśmiechnęła się po kobiecie:

— Co to jest jednak szczęście! Choćby najkrótsze, zostawia ślad wieczny. Długie lata cierpienia dzielą mię od tēj rozmowy, a zdaje mi się że jeszcze ją słyszę, że patrzę na owo zwierciadło wazkie o mahoniowych stopniach, co między oknami nam świeciło, na owe sztychy angielskie po ścianach rozwieszzone, któreśmy Cesi tłumaczyli...

— Tak...—wtrącił pan Tytus—i na owe aksamitną kanapkę, gdzieśmy to siedli po herbacie. O! i ja wszystko widzę!... Ten salonik, zwyczajny, jak wszelkie salony hotelowe, mnie się przedstawia jak świątynia.

— Ach, dla mnie, panie Tytusie, ma on i inne wspomnienia... czasem widzę go w ogniach piekielnych. Jeszcze teraz niekiedy śni mi się, że z niego uciekam, że ja i Cesia nie możemy się z niego wydostać, i taki sen swoją okropnością przechodzi prawie rzeczywistość. — Otóż, panie Wiesławie, owego dnia dałam się przekonać, co, prawdę mówiąc, nie było trudnym... serce żądało przekonania. Dałam się rozczulić, przyznając, ale muszę dodać, że nie przyszło z mojej strony do żadnych przysięg, żadnych nawet wyraźnych obietnic; wszystko zostawiłam w zawieszeniu: chciałam się piérwój pomodlić. Nieprawdaż, panie Tytusie?— Wuj pański, jak widzę, o niemiał, ale kto milczy, przysięga, — a ja powinnam ten szczegół przypomnieć, aby pokazać że

mojém późniejszym postępowaniem nie zламаłam żadnej przysięgi. Jeśli zaś raniłam serce, to byłam przekonana, święcie przekonana, że ranię tylko moje własne.

— Ha! czy wiesz dlaczego ja milczę?—zawołał pan Tytus, odejmując rękę od oczów roziskrzonych.—Ja sobie wymawiam, ja sobie nie mogę darować, czemu wtedy usłuchałem twego przechwalonego rozsądku, czemu się dałem wypędzić? Gdybym cię był związał jakim ustępstwem, jakąś chociażby przysięgą, wszystko może byłoby się obróciło inaczej!

— Panie Tytusie, nie żałujmy żeśmy się trzymali prostej drogi. Żal taki byłby i grzeczniejszym, i na nic nie przydatnym, bo dla przeszłości żadne *gdyby* nie istnieje. Nigdy owszem nie wydałem mi się lepszym i piękniejszym, jak odchodząc z uległością przywiązania prawdziwego, bo teńającego szacunkiem.—Piérwszą moją myślą było pobiedz do Cesi; musiała nie nie słyszeć, nie być na nie przygotowana, bo dopiero za mojem wejściem rozbudziła się ze snu głębokiego i wyciągnęła ręce do uścisku. Oddałam go ję gwałtownie, prawie z trwogą. Zawsze to ciężkie przejście dla matki, donosić córce że ję daje ojczyzna—tém bardziej kiedy chodziło o pana Odonicza, do którego, o ile miarkowałam, Cesia wówczas niewielkie miała, jak to mówią, nabożeństwo.

— Doprawdy?—pochwycił Wiesław ze złej utajoną radością.

— A tak, i nie dziwnego; dzieci nigdy nie mogą bardzo lubić tych, których matka nazbyt lubi; jest to prosty instynkt serca, które zawsze pragnie wyłączności. W owęj chwili, widząc ją tak spokojną, tak serdecznie ufną, nie miałam odwagi nocy ję zakłócać, uściskałam ją tylko z przytłumionemi łzami i odłożyłam wiadomość na jutro. Ach Boże, na jutro!... Wróciwszy do piérwszego pokoju, doznałam wielkiego zdziwienia; zdawało mi się że na korytarzu słyszę jeszcze głos pana Tytusa. Uchyliłam drzwi, ale arkada wystająca z muru nie pozwoliła mi głęboko zajrzeć; rozmowa tēż zaraz ustała, i usłyszałam tylko oddalające się kroki. Wróciłam, uśmiechając się ze złudzenia, co mi wszędzie dawało słyszeć głos drogiej osoby.

— To nie było złudzenie — szepnął pan Tytus.—Ach, może i szkoda żeśmy się wówczas nie zeszli...

— Obejrzałam wszystkie wyjścia i zakątki, co zwykły czynić kobiety przezorne, kiedy podróżują, zwłaszcza same. Drzwi od korytarza zamknęłam na dwa spusty, drugie od Cesi zostawiłam na rozcież otwarte, a trzecie, małe, które łączyły salonik z mieszkaniem nieznanym mi lokatorów, obejrzałam pilnie. Klucza w zamku nie było, ale sądziłam że zwyczajem hotelowym znajduje się u gospodarza; drzwiczki pod parciem ręki ani drgnęły, wróciłam więc zupełnie spokojna i weszłam do alkowy, która tworzyła przy salonie osobny, kotarą zasunięty pokój. Przed zaśnięciem, chciałam ostatecznie rozmyśleć moję przyszłość. Z godzinę kłęcząc, prosiłam Boga o szczęśliwe natchnienie. Widok mego dziecka odciągnął mnie na chwilę od pokusy wszelkich innych uczuć; zresztą, całe życie byłam z zasady przeciwna małżeństwu powtórnym, zwłaszcza gdy z piérwszego jest potomstwo. Jednak, po niejakić walce, popęd serca wszystko zwyciężył. Wyrzuciłam sobie nowe zasady i wstałam przekonana, że niebo pobłogosławi moję drugię, a raczej moję jędnę miłości. Nazajutrz miałam wybranemu dać słowo. Postanowienie moje musiało nie podobać się Bogu, a może tēż marzone szczęście było zanadto wielkiem, aby miał na nie w tēm życiu pozwolić. Ale wtedy nie przeszło mi nawet przez myśl, aby temu szczęściu mogło przeszkodzić co innego, jak moja własna wola, i usnęłam w najzupełniejszej błogości. Pamiętam, bila druga po północy, kiedy gasiłam światło.

— Ja wtedy jeszcze chodziłem pod oknami hotelu, trawiony złēm przeczcuciem... Trzeba słuchać przeczcuc...

Takie słowa półgłosem ciszał pan Tytus, który wyraźnie już nie mógł na miejscu dosiedzieć. Za-

czął chodzić po salonie, wzdychając i głową potrząsając, jak lew któremu zaciasno w klatce.

— Spałam już może z godzinę; śniły mi się moje lata dziecinne, pełne kwiatów i jakieś muzyki przeslicznej, kiedy z najsmaczniejszego snu rozbudził mię dziwny łoskot. Otworzyłam oczy, nie mogąc w piérwszej chwili zrozumieć gdzie jestem, czy u rodziców, czy w moim domu w Warszawie. Zdziwił mię pas światła, który z głębi pokoju strzelił i zbliżał się do mnie. Kotara była nieco rozsunięta, przez otwór zobaczyłam postać kobiecą, nadchodzącą krokiem szybkim, a jednak przyciszonym. W jednę rękę niosła świecę, drugą przytrzymywała szal czerwony który ją owijał. Chciałam głowę podnieść—nie mogłam się ruszyć—byłam pewna że to sen przykry, a w myśli robiłam niesłychane wysilenia, aby sobie przypomnieć gdzie już tę postać widziałam? Bo widziałam ją, to niezawodne. Dobięglszy do stołu, postawiła lichtarz. Po tym ruchu poznałam ją zupełnie. To była Norma, owa Norma raz widziana, a niezapomniana. Te same czarne włosy, tylko rozpuszczone, te węglowe oczy, ta harda postawa, tylko dziś cichsza a razem i dziksza, jak u osoby co się czai. Mówiłam sobie:—„To nie innego, tylko zhora, przybierająca kształty niedobrego wspomnienia.“ Chciałam krzyknąć, zdawało mi się nawet że krzyczę, ale głos uwiązał w piersiach. A tymczasem owa zhora, obejrawszy się po całym pokoju, spuściła szal, podniosła rękę z czémś błyszczącym i rzuciła się ku alkwie, zupełnie jak tamta chciała rzucić się ku mojęj łozy. Ale tą razą nie mię od nięj nie dzieliło. Uczułam ję rękę na moich piersiach; pod tē dotknięciem zupełnie się rozbudziłam, rozpaczliwym ruchem zdołałam się nieco podnieść i nawpół usiąść. Ten ruch mię zbawił. Uczułam tu, pod lewem ramieniem, najprzód dziwne wrażenie zimna, potēm gorąca, potēm ból ognisty. Ten ból wydarł mi z ust piérwszy krzyk prawdziwy. Ale tēż to był i jędyny. Uderzyła mię myśl, że krzyki moje przywołają Cesię, że dziecko może się wmieszać do walki i także jaki cios ponieść. Postanowiłam bronić się sama i jak najciszej. W niebezpieczeństwie, myśli nabierają szybkości, jasności niepojętej. Wszystko co wam od kilku minut opowiadam, trwało ledwie kilka sekund, a ja przez ten czas przeżyłam całą istotność, rozumiałam że to jest Romana, że sprowadza ją zazdrość, więc że walka będzie na życie i śmierć, że chciała mnie trafić w serce, ale przez mój ruch gwałtowny sztylet został podbity i zranił mię wyżej. Te myśli leciały jak pioruny, bijące jeden po drugim; jednocześnie cała przeszłość stanęła przedemną rozsuniętym obrazem, jak mówią że staje zawsze przed umierającymi,—a nakoniec przyszłość. Ach, nie moja! Muszę wyznać że nie myślałam ani o panu Tytusie, ani nawet o wieczności, ale tylko o Cesi. W takić chwili widzi się najlepiej, jaka jest moc uczuć wyrosłych z obowiązków, wskazanych przez Boga samego. Myślałam:—jeśli zginę, ona zostanie sierotą, samiułenką na świecie, narazoną może na dalszą zemstę!—I zebrałam całą odwagę, aby walczyć do upadłego. Pomimo wszelkich wysilen, byłabym pewnie zginęła pod ciosem powtórnym, gdyby ta... kobieta miała jeszcze broń w ręku. Ale kiedy piérwszy cios wymierzyła, sztylet, odtrącony moim rzutem, wywinął się zsunał po mojęj piersi, w której wyrzył bruzd, i wyslizgnawszy ję się z ręki, spadł na łozko, a ztamtąd na posadzkę. Słyszałam brzęk. Schyliła się szybko i jedną ręką szukała go po ziemi, a drugą chwyciła mię za gardło, mówiąc przez zaciśniętę zęby:—A przeklęta! Zmusiłaś go aby się mnie zaparł? Słyszałam wszystko! To nieprawda! On mnie kochał i jeszcze kochać będzie, a ty zginiesz jak pieś! Oto ci sprawiam wesele!—I miotła klątwy tēm straszniejszym, im gwałtowniej się niecierpliwiła że nie może odnaléć sztyletu. Ja miałam obie ręce wolne, obie wyteżałam, aby ję rękę oderwać od mojęj szyi; ale ję siła była niepojęta, żelazne palce trzymały mię jak w kleszczach. Już mi w piersiach rzeziło, już tchu brakowało, już mi pokój kołował w głowie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

## Ludwika królowa pruska.

(Dalszy ciąg.)

Rozprężenie armii przez długotrwały pokój i niedołężne kierownictwo ułatwiły wielce zadanie temu niezwykłemu dotąd zdobywcy. Podwójna bitwa, pod Jeną i Auerstädt rozstrzygnęła o losach monarchii. W pięć tygodni po katastrofie, dnia 14 października 1806 r., odprawiał tryumfator wjazd do Berlina.

Jak wiadomo, Napoleon w swych buletynach czynił królową Ludwikę najwięcej odpowiedzialną za rezultaty wojny; a przecież Ludwika, bawiąca właśnie u wód w Piemencie, podczas gdy w Berlinie zdecydowano rozpoczęcie tej fatalnej wojny, nie mogła brać udziału w naradach. Na kilka jeszcze dni przed bitwą pod Jeną oświadczyła ona Fryderykowi Gentzowi podczas pamiętnego posłuchania, że nigdy nie była zwaną do narad nad publicznymi sprawami i nigdy się też o to nie starała. Posłuchanie to wznieciło w bystrym polityku i publicyście podziw dla wzniosłości charakteru i przekonania „nieszczęśliwej, niezapomnianej Ludwiki.“ Na tej to audyencji oświadczyła ona, że jakkolwiek wysoko ceni osobiste cnoty cesarza Aleksandra, nie rachuje jednak na pomoc Rosyi, lecz jest przekonana, że „środki ratunku możnaby znaleźć jedynie w naścisłym zjednoczeniu wszystkich ludów niemieckiego pochodzenia.“

Jakkolwiek królowa nie doradzała wojny, jednakże nie tała się wcale po jej wypowiedzeniu ze swym przywoleciem, a nawet, jako wierna małżonka i odważna kobieta, towarzyszyła królowi w pochodzie do Turynii. Pozostawała tam aż do 14 października. Dopiero gdy grom kłęski pod Jeną dobiegł Wejmaru, pośpieszyła Ludwika, na rozkaz małżonka, do stolicy. Tuż przed bramami miasta otrzymała wiadomość o zupełnym zniweczeniu armii. Wskutek tego schroniła się z dziećmi do Szczecina, a gdy haniebnym poddaniem się najlepszych fortec kraju i resztek rozbitej armii odebrało ostatnią nadzieję ratunku, przeniosła się do Kistrzynia, dokąd przybył także znekanym jej małżonek. Szybko zbliżający się nieprzyjaciel zmusił królewską parę do dalszej ucieczki, najprzód do Grudziądza, później do Królewca. Energicznymi słowy Ludwika wlewała odwagę i wiarę w przyszłość w znekanego małżonka. Gdy otaczający króla doradcy widzieli jedyny ratunek w zdaniu się na łaskę i niełaskę zwycięzcy, królowa obstawała za wytrwałym oporem. Wielkość jej duszy najwięcej jaśniała w stosunkach z ludźmi, którzy się przyczynili do upadku kraju. Zato dotkliwie i nędzne oszczerstwa, rozszérszane drukiem, oburzały ją niewymownie.

Anielsko czysta królowa, spojrzawszy na całe poprzednie swe życie, mogła czuć się w duszy wyższą nad wszelkie oszczerstwa; a jednak w godzinach zwątpienia niekiedy przychodziło jej na myśl, że może lud cały, własna rodzina jej nawet, słusznie cierpią to dopuszczenie losu. Co wtedy czuć mogła Ludwika pod ciosami klątwy cięższej nad krajem, pozwalają to nam odgadnąć słowa wpisane do jej dziennika ręką Goethego, w dniu 5 grudnia 1806 r. „Kto nigdy nie skropił łzami swego chleba, kto nie spędzał pod nawalem trosk bezsennych nocy, płacząc na posłaniu, ten nie zna was, o niebiańskie potęgi! Wy nas zwracacie ku życiu, wy pozwalacie ludziom zawinić, aby przygnieść ich później cierpieniami; każda bowiem wina musi być już tu na ziemi odpokutowana.“

W czasie pobytu w Królewcu, słaby organizm potężnej duchem królowej uległ pod uderzającymi zewsząd ciosami losu. Zapadłszy na gorączkę ner-

wową, przez 14 dni zostawała między życiem a śmiercią. Zbliżające się oddziały nieprzyjacielskie zmusiły chorą jeszcze królową do opuszczenia Królewca i szukania przytułku w Memlu, najodleglejszym zakątku monarchii. „Wolałabym, powtarzała Ludwika do Hufelanda, pójść do Boga, niż dostać się w ręce tych ludzi.“ W dniu 3 stycznia, przy straszliwym zimnie i okropnej zamieci śnieżnej, zaniesiono ją do powozu, w którym odbyła 20-milową podróż do Memla. „Jechaliśmy trzy dni i trzy noce, powiada uczestniczka tej podróży, brodząc naprzemian to w zaspach śniegu, to w falach burzliwego morza (odnogi kuronńskiej), a noce spędzając w najnędzniejszych schronieniach. Pierwszej nocy królowa leżała w pokoju z połudzionymi oknami, tak iż śnieg zalatywał na posłanie. O posiłku pokrzepiającym niepodobna było myśleć. Nigdy może jeszcze żadna królowa nie zetknęła się tak dotkliwie z „niedostatkiem.“ W Memlu, gdzie Ludwika złączyła się z mężem i dziećmi, stan jej zdrowia doznał polepszenia, a przytém militarno-polityczna sytuacja pozwalała chwilowo nową się cieszyć nadzieją. Resztki armii pruskiej, zgrupowane pod dowództwem dzielnego Lestocę, złączyły się z nadeszłymi nareszcie wojskami rosyjskimi i podniosły utracony honor wojenny w kilku starciach z nieprzyjacielem, tak iż można było rachować na znośniejsze warunki pokoju. Po bitwie pod Pruskim-Hłowem, Napoleon oświadczył się z gotowością ofiarowania królowi pokoju na dogodniejszych warunkach, byle tylko usunął się od przymierza z cesarzem Aleksandrem. Rzecz naturalna iż propozycja ta została odrzuconą, a przymierze dwóch państw wzmocniło się jeszcze więcej przez nowe poręczenie cesarza Aleksandra, który przybywszy do Memla, wobec swęj gwardyi poprzysiągł królowi wierność aż do śmierci. Ludwika na tém przymierzu opierała najpiękniejszą na przyszłość nadzieję: „Wytrwałością jedynie, pisała do ojca, zwyciężymy, prędzej czy później, jestem o tém najmocniej przekonana.“

Królowa udała się w kwietniu do Królewca, gdzie mieszkała jej siostra Fryderyka, i tam spędziła kilka tygodni na doglądaniu rannych i wspieraniu ofiar wojny. Dalsze jednak postępy Francuzów, upadek Gdańska i zagrożenie Królewca zmusiły ją do powrotu do Memla w początkach czerwca. Tymczasem bitwa pod Friedlandem zniszczyła wszelkie nadzieje; Królewiec upadł, Rosyianie usuwali się, a Napoleon główną swą kwatery przeniósł do Tyłży. Był to szereg najcięższych ciosów dla Ludwiki.

„Znowu, pisała do ojca, spadła na nas olbrzymia kłęska, tak iż jesteście bardzo już bliżej wygnania. Pomyśl tylko, co ja czuć muszę! Ale zaklinam cię na Boga, nie sądź mylnie o swęj córce! Nie wierz by serce moje poddało się małoduszności. Dwa mam punkta oparcia, wnoszące mnie ponad wszystko: myśl że nie jesteście igraszką ślepego przypadku, lecz że ręka Boża czuwa nad nami, kierując naszymi sprawami — i powtóre przekonanie, że upadamy z honorem. Król dowiódł światu, że nie pragnie hańby, lecz honoru. Król nie mógł inaczej działać, jeżeli nie miał się sprzeniewierzyć swemu ludowi...“ „Skoro naglące niebezpieczeństwo się zbliży, pisze dalej, udam się do Rygi; Bóg mi doda siłę, by przenieść chwilę przekroczenia granicy państwa. Od Niego płynie wszystko, złe i dobre. Wierzę niezachwianie, że nie zysła On nigdy więcej, niż znieść jesteśmy w możności. Jeszcze raz powtarzam, najlepszy ojciec, ginie, ale z honorem. Ja znoszę wszystko z takim spokojem i poddaniem się, jakie tylko czyste sumienie i ufność w Bogu dać może.“ W kilka dni później, po zawarciu zawieszenia broni między Napoleonem a cesarzem Aleksandrem, pisze z rozpaczliwą rezygnacją: „Na dro-

dze prawości żyć i umrzeć, choćby przytém chleb suchy ze solą jeść mi przyszło, oto przyszłość moja, która jednak nie uczyni mnie nieszczęśliwą, chociaż nadziei żadnej mieć już nie mogę.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WILIAM HERSHEL.

Karta z dziejów astronomii,  
przez  
A. Blydowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Poznawszy astronomię teoretycznie, Wiliam zapragnął poznać ją praktycznie, spojrzeć oko w oko tym ciałom niebieskim, o których czytał tyle i których harmonijnymi obrotami tak się zachwycał. Jednym słowem zapragnął mieć teleskop.

To pragnienie, a raczej żądza niepomahowaną zaspokojenia go, przy braku środków, stały się kluczem do całej jego wielkości.

Teleskopy wynalezione zostały w początkach XVII wieku, podobno przypadkowo, przez dzieci optyka w Middelburgu w Holandyi, które, bawiąc się, zestawili przypadkiem szkła w sposób odpowiedni. Były one jeszcze w czasach młodości Herschla rzadkością, szczególnie większe, tak zwane reflektory, czyli teleskopy zwierciadlane, z których pierwszy zbudował Mikołaj Zucchius około r. 1616, a które następnie Newton ulepszył. Znaleźć je było można tylko w obserwatoriach i pałacach arystokracji. W porównaniu z dzisiejszymi były to narzędzia niewytrzymujące żadnej krytyki, wielkie, ciężkie, kosztowne, a bardzo ograniczonej siły powiększającej. Dopiero w r. 1757 Dollandowi udało się ulepszyć nieco teleskopy tak zwane refrakcyjne, to jest oparte na łamaniu się światła; zapomocą takiego 60-stopowego teleskopu doktor Long z Oxfordu obserwował ciemne pasy Jowisza i pierścień Saturna. Wkrótce jednak temuz Dollandowi udało się wynaléźć teleskopy tak zwane *achromatyczne*, to jest przedstawiające obraz obserwowanego przedmiotu bez obwódki kolorowej, która brzegi jego czyniła niewyraźnymi w dawnych teleskopach. Teleskop taki, mający półczwartęj stopy długości, przewyższał co do siły powiększającej dawne stustopowe refraktory.

Herschel pożyczyl sobie od przyjaciela reflektora, czyli teleskopu zwierciadlanego dwustopowego, i zapomocą tego narzędzia po raz pierwszy spotęgowaną siłą wzroku spojrzal w niebo, studując system planetarny. Rozkosz jaką mu to sprawiło osłabiała tylko niedoskonałość narzędzia. Zapragnął posiadać teleskop dokładniejszy, z pracowni najslawniejszego ówczesnego optyka Jamesa Short w Edyburgu. Stało się to jego marzeniem, ale niestety marzenia tego nie pozwalał zamienić w rzeczywistość brak funduszu. Istotnie, z katalogów tego fabrykanta, które się przechowały w bibliotekach, widzimy, że ówczesna cena reflektora gregoryańskiego, o dwóch stopach odległości ogniska i pięciu calach średnicy, powiększającego od 70 do 250 razy, wynosiła 35 fst. (220 rsr.), a teleskop taki nie byłby jeszcze zaspokoil życzeń Herschla. Jemu trzeba było najpotężniejszego narzędzia, jakie było możebnym współczesnie.

Gdyby był Herschel w owym czasie rozporządzał znacznymi środkami materyalnemi, byłby sobie kupił najlepszy teleskop, na jaki jego fundusze pozwoliłyby mu się zdobyć, i prawdopodobnie zobaczyłby przezeń to tylko, co już inni powielekroć przed nim widzieli. Nigdy zapewne nie



wpadłby na myśl robienia sobie teleskopów samemu i nigdyby, nie zaprawiwszy się do tej pracy, nie doszedł do tworzenia owych olbrzymów, które mu dopiero odsłoniły wszystkie tajemnice wszechświata. Z największym więc prawdopodobieństwem, niemylnie prawie, twierdzić można, że jedną z najglówniejszych podstaw wielkości tego znakomitego męża były trudności materialne, w jakich się znajdował zamłodu. Przykład ten wreszcie mógłby nie być wystarczającym, gdyby był jedynym. Ale i Newton dopiero w późniejszych latach przyszedł do zamożności, a Kepler przez całe życie walczył nietylko z biedą, ale i z najrozmaitszymi innymi przeciwnościami, że wspomniemy tylko siedmioletnie więzienie jego matki, oskarżonej i zagrożonej śmiercią za czary, której, pomimo wszelkich starań, nie mógł uwolnić. Obaj ci mężowie jednak, pomimo trudności materialnych i walk jakie przebywać musieli, zdołali zdobyć sobie nieśmiertelność.

Postanowił zatem Herschel zbudować sobie teleskop. Myśl to była teoretycznie do wykonania łatwa, znał bowiem doskonale optykę; ale jakież trudności przedstawiała w praktyce! Dla najbiegłego optyka, który życie całe poświęcił temu zawodowi, który ma pod ręką wszystkie środki pomocnicze, nie jest to jeszcze rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało, zbudować dobry teleskop, a cóż dopiero dla młodzieńca, który, jak Herschel, po raz pierwszy w życiu, z powątpiewaniem o skutku, zabięrał się do tej pracy.

Przytém teleskop, nawet własną ręką zrobiony, wymagał znacznych kosztów, które trzeba było ze szczupłych funduszków zaoszczędzić, i długiego czasu, który potrzeba było znaleźć poza obowiązkami zawodu i pracy na chleb powszedni.

Potrzeba było nabyć płytę metalową odpowiednich rozmiarów i grubości, potrzeba było dalej przez szlifowanie nadać jej potrzebną paraboliczną lub hyperboliczną, ściśle według zasad matematyki obrachowaną wklęsłość, ażeby otrzymać żadaną odległość ogniska, do którego w teleskopie zbiegać się muszą wszystkie odbijane przez zwierciadło promienie.

Herschel wszystkie te trudności zwyciężył i zbudował sobie pierwszy teleskop pięciostopowy. Było to w r. 1774, w sto lat właśnie od czasu, jak wielki jego poprzednik Newton (w r. 1674) zbudował pierwszy swój dalekowiedz, zapomocą którego, pomimo że miał tylko 5 cali odległości ogniska, widzieć mógł pierścień Saturna.

Od tej chwili zaczyna się właściwie zawód astronomiczny Wiliama Herschla. Nie od razu jednak imię jego stało się głośnym i przy pomocy pierwszego zbudowanego przez siebie teleskopu nie zrobił on żadnego ważniejszego odkrycia. Dopiero gdy zachęcony nabytém doświadczeniem, zbudował drugi teleskop, siedmiostopowy, tak dobry, że mógł w nim zastosowywać nadzwyczaj wielkie powiększenia, rozpoczęły się odkrycia, które imię jego rozślawiły.

Dodajmy tu zaraz, że będąc jeszcze organistą w Bath i zajmując się przytém obserwacjami astronomicznymi, tworzył wciąż nowe teleskopy. Własnymi siłami i środkami zbudował z biegiem czasu reflektor dziesięcio-, a następnie dwudziestostopowy, to jest taki, którego nikt jeszcze przed nim nie zbudował, ani zbudować nie pomyślał. Zajmował się tęp tak namiętnie, że nawet dla brania pokarmu nie przerywał pracy. Siostra Karolina karmiła go wówczas łyżką, jak małe dziecko. O powiększeniu swych dochodów nietylko nie myślał, ale nawet o ile mógł najbardziej ograniczał liczbę lekcji muzyki, ażeby jaknajwięcej czasu poświęcić ulubionej nauce.

Nim przystąpimy do przeglądu odkryć Herschla, rzućmy okiem pobieżnie na stan ówczesny astronomii, w epoce, w której nasz uczonec zbudował pierwszy swój teleskop. Mówiliśmy już, że głównym podręcznikiem astronomicznym były podówczas w Anglii *Lekcje astronomii* Jakuba Fergussona i *Wykłady* Keilla; tutaj dodamy jeszcze dzieła Jana Flamstaeda († w 1719), jak *Rozprawa o równaniu czasu*, to jest o obliczeniach potrzebnych dla dojsścia różnicy czasu astronomicznego od powszechnie używanego czasu średnie-

go, *Traktat o teorii księżycy*, podanej przez Horroxa, (1) i *Katalog 3000 gwiazd*, pierwszy obszerniejszy, z niejaką dokładnością sporządzony. James Bradley († 1762 r.) odkrył już aberrację światła i kołysanie się osi ziemskiej. Edmund Halley († 1742) przepowiedział na lata 1758 i 1759 powrót komety, obserwowanej w latach 1531, 1607 i 1682, i przepowiednia ta się sprawdziła, spisał katalog gwiazd półkuli południowej i ogłosił teorię zbieżności igły magnesowej. Sprawdzenie się przepowiedni Halleya zjednało u ogółu większe poważanie dla wiedzy astronomów. Można było być pewnym, że już nie powtórzy się fakt taki jak w Danii, za Krystyana IV, kiedy ministra Walkendorpa pociągnięto do odpowiedzialności za nakłady, złożone na obserwatorium słynnego astronoma Tycho-Brache, i kiedy komisya śledcza, w której żaden astronom nie zasiadał, zdecydowała, iż minister tym sposobem marnował pieniądze skarbowe na rzeczy nieużyteczne. W Petersburgu, Pekinie, Batawii i na wyspie Otaihiti obserwowano w latach 1761 i 1769 przejście Wenerę przez tarczę słońca i na podstawie tych obserwacji oznaczono dokładniej paralaksę słońca i odległość jego od ziemi. Obliczenia te posłużyły do sprostowania błędnych odległości, podanych w dziele Fergussona; system jednak słoneczny, to jest słońce wraz z planetami, uważano jeszcze prawie za wszechświat, a najdalszą od słońca ze znanych ówczesnie planet, Saturna, za strażnika granic tego wszechświata. Gwiazdy stałe obserwowano bardzo rzadko, chyba dla wypróbowania siły jakiego teleskopu, przyczem naturalnie zrobiono spostrzeżenie, że kiedy planety powiększają się w teleskopach, gwiazdy stałe, przeciwnie, zdają się pozornie zmniejszać i zmniejszenie się to tęp bardziej jest uderzające, im teleskop potężniejszy. Gwiazdy te, zgodnie z domysłami Kopernika i Keplera, uważane były powszechnie za nieruchome, za nieruchome również i nasze słońce, lubo już wspomniany wyżej Edmund Halley rzucił pierwszy domysł, że i one posiadają ruch pewien, domysł oparty na różnicach zachodzących między katalogami Hipparcha († 200 lat przed Chr.) i Flamsteada (r. 1700) co do gwiazd pierwszorzędnej wielkości, jak Arcturus, Aldebaran i Syriusz.

Wróćmy jednak do Herschla. Pierwsza praca astronomiczna, którą ogłosił, traktowała o tak zwaném *Trapezium* konstelacji Oriona. Praca ta nie zjednała mu wielkiego rozgłosu, co go jednak nie zniechęciło. Badał niezmordowanie niebo i w dniu 13 marca 1781 zrobił odkrycie, któremu równem żaden astronom przed nim poszczycić się nie mógł—odkrył *nową planetę*. Planety, obserwowane przed nim, znane były od najdawniejszej starożytności, jako widzialne łatwo nieuzbrojonym nawet okiem i ci którzy je pierwsi spostrzegli, którzy pierwsi zauważyli że ruchy ich są odmienne od ruchów innych gwiazd, z pewnością nie byli astronomami, a ich imiona dawniejsze są niż historia. Pierwszego właściwego odkrycia planety dokonał zatem Herschel. W dniu wyżej wspomnianym zobaczył on w konstelacji Bliźniąt, tuż przy świetnych gwiazdach zwanych Kastor i Polluks, małą gwiazdkę siódmej wielkości, zaledwie gołym okiem widzialną, której znaczne powiększenie w jego teleskopie od razu zwróciło jego uwagę i przekonało go, że nie mogła ona być gwiazdą stałą. Obserwując ją nazajutrz, spostrzegł że miała ruch własny, że była więc ciałem nienależącym do systemu słonecznego. O odkryciu tęp zawiadomiono wszystkie obserwatoria i przekonano się, że to nie jest kometa, lecz planeta, obiegająca około słońca w odległości około 400 milionów mil i dokonująca obiegu w ciągu lat 80; dwa lata jednak upłynęły, nim się o tęp przeświadczone ostatecznie. Mimo to odkrycie Herschla obudziło wielkie zajęcie i zwróciło na niego

uwagę uczonego świata. Panujący ówczesnie w Anglii Król Jerzy III, zapalony zwolennik astronomii, który w Richmond posiadał swoje prywatne obserwatorium, przeniósł biędnego organistę z Bath do Slough pod Windsorem, wyznaczył mu 400 f. ster. (2520 rs.) rocz. pensyi i zachęcił do dalszej pracy. Przy pomocy królewskiej, wolny od przygrywania na organach i dawania lekcji muzyki, Herschel budował dalej coraz większe teleskopy i badając przestwór gwiazdowy, robił coraz nowe odkrycia. W owych czasach astronom nasz ożenił się.

Gdy odkryte przez Herschla ciało niebieskie ostatecznie uznano za planetę, w r. 1783 odkrywca na lał mu imię „Gwiazdy Jerzego“ (Georgium sidus), na cześć panującego monarchy, a swojego dobroczyńcy. Nazwa ta jednak, niezastosowana do innych nazw planet, nie przyjęła się. Francuzcy astronomowie dawali nowo odkrytej planecie nazwę Herschel, na cześć odkrywcy; Niemiec nazywali ją rozmaicie. W „Tańcu planet“ Göthego ta planeta występuje pod nazwą Cybele, inni nazywali ją Rheę i t. p.; później dopiero, na wniosek Bodego, nazwano ją powszechnie Uranusem.

Ciekawém było pytanie, dlaczego tęp planety nikt przed Herschlem nie widział. Odpowiedź na nie znalazła się predko. Była ona widywaną i zapisywaną w katalogach przez Flamsteada, Mayera z Getyngi, Lemoniera i Bradleya; wszyscy oni jednak uważali ją za gwiazdę stałą i zapisywali nieraz po kilkanaście razy, to jest jako tyleż gwiazd rozmaitych w różnych konstelacjach, w miarę przebieganęj drogi. Ruch jęj był zbyt powolny, a średnica zamała, ażeby ją z pomiędzy innych gwiazd można było wyróżnić. Twierdzą jednakże niektórzy podróżopisarze, że mieszkańcy wysp Otaihiti znali tęp planetę oddawna i na jęj oznaczenie mają w swym języku osobne nazwisko.

Z księżyców Uranusa, których liczba dotychczas nie jest dokładnie znaną, odkrył Herschel w r. 1787 dwa, z księżyców zaś Saturna, których pięć tylko znano za jego czasów, odkrył w r. 1788 i 1789 dwa najbliższe tęp planety, a więc najtrudniejsze do dostrzeżenia; po nim zaś dopiero w r. 1848 Lassell odkrył jeszcze jednego liczbę ich do ósmiu doprowadził. Na rok 1787 przypada także odkrycie, że pierścień Saturna, uważany przedtęp za jednolity, składa się rzeczywiscie z dwóch pierścieni. Widzieli to wprawdzie przedtęp Cassini i inni obserwatorowie, ale pierwszy Herschel dopiero dwoistość pierścienia niezbitcie udowodnił.

W r. 1785 Herschel rozpoczął, a w sierpniu 1788 r. ukończył, przy pomocy funduszków hojnie udzielanych przez króla, słynny swój czterdziestostopowy teleskop. Opisany on został szczegółowo w „*Tranzakcjach filozoficznych*“ królewskiego Towarzystwa naukowego, w artykule obejmującym 63 str. *in quarto* i 18 tablic rysunków. Jakkolwiek skrócone opisy tego teleskopu są dość powszechne, sądzimy przecież, że nie będzie zbyt cennym podać tu niektóre o nim szczegóły.

Zwierciadło było zrobione z aliażu miedzi i cyny, ważyło 2118 funtów, miała półczwarta cala grubości i 48 centymetrów średnicy. Umieszczone było na jednym z końców tuby z żelaza bardzo cienkiego. Tuba ta, długa 39 stóp i 4 cale i mająca średnicy 4 stopy i 10 cali, przyniesioną została z fabryki do Slough przez 24 ludzi. Dzięki cienkości użytego materiału, ważyła ona o 3000 funtów mniej, niżby ważyła takiej samęj wielkości tuba drewniana. Dla zabezpieczenia jęj od wyginania się skutkiem własnego ciężaru, umieszczono wewnątrz obręcze i podłużne sztaby żelaza. Na drugim końcu tuby umieszczone były szkła oczne, przez które obserwator patrzył wewnątrz tuby. Dla poruszania takiego kolosu potrzeba było zbudować olbrzymie rusztowanie, z całym systemem bloków i sznurów. Obserwator zajmował miejsce na galerii ruchomej, w bliskości wyższego otworu tuby. Galeria ta zmieniała z łatwością swe położenie; tylko dla poruszenia tuby potrzeba było wprawiać w ruch cały mechanizm. Wszystko spoczywało na podmurowaniu z cegieł i kamieni.

(1) Horrox, którego zasługi wskrzesił w tęp dziele Flamsteada, umarł w r. 1641, mając zaledwie lat 22. Ubogi i samouk, wykształcił się tak wysoko, że był pierwszym astronomem, który przewidział przejście Wenerę przez tarczę słońca i obserwował je w d. 4 grudnia 1639. Naukę o księżycu także znacznie naprzód posunął.



W środku przyrządu znajdował się słup dębowy, służący za oś dla całego tego mechanizmu, który dokoła téj osi obracał się bardzo łatwo. Do robienia spostrzeżeń wystarczyły trzy osoby, jedna do kierowania teleskopu, druga do patrzenia wewnątrz, a trzecia do robienia notat. Gdy nie czyniono obserwacji, wyjmowano zwierciadło, ażeby je ile możności ochronić od psucia się, pod wpływem powietrza i wilgoci. Mimo téj ostrożności, wielki Teleskop Herschla zdolnym był do użytku tylko przez lat dziesięć (od 1789 do 1799 r.).

Przy pomocy tego olbrzyma genialny astronom poczynił odkrycia rzeczywiście zdumiewające. Przejdźmy najglówniejsze z nich nieco szczegółowiej.

Od czasu odkrycia teleskopów zauważono, że niektóre gwiazdy, wydające się przy patrzeniu gołym okiem pojedynczemi, w teleskopie się rozdają, albo rozpadają na kilka gwiazd nadzwyczaj do siebie zbliżonych. Zbliżenie takie może być rzeczywiste, lub tylko pozorne; gwiazdy te mogą się znajdować istotnie blisko siebie, lub też mogą być niezmiernie od siebie oddalone, a przedstawiać się nam zbliżonemi jedynie dlatego, że leżą od nas prawie w tym samym kierunku. Jak się rzeczywiście rzecz ma z temi gwiazdami, o tém nie wiedziiano i wogóle mało się zajmowano tém zjawiskiem, zwłaszcza że liczba dostrzeżonych takich gwiazd była bardzo niewielką, co przemawiało za prawdopodobieństwem tylko pozornego ich zbliżenia. Na parę dopiero lat przed otrzymaniem przez Herschla rezultatami wystąpił Chrystyan Mayer, astronom z Mannheimu, z przypuszczeniem, że około gwiazd stałych krążyć mogą inne gwiazdy, będące ich satelitami. Przypuszczenie to z początku wywołało tylko zaprzeczenia i szyderstwo. Wiedziiano że gwiazdy są słońcami, jak nasze słońce, a że wszystkie satelity naszego słońca, to jest planety i księżyc, świecą tylko pożyczanym światłem, więc przypuszczano, że tak samo być musi i z satelitami gwiazd, ciała zaś świecącego pożyczanym światłem niepodobna byłoby dojrzeć z niezmiernéj odległości, w jakiej znajdują się gwiazdy stałe.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Biblioteka Donkiszota.

(Rys z dziejów literatury hiszpańskiej w w. XVI).  
przez Emila Gebhart'a.

(Dokończenie.)

### II.

Wróćmy do Hiszpanii. Najbujniejszy rozkwit jej romansów rycerskich przypada dopiero na koniec w. XV i na wiek XVI. Aż po ową epokę nie miała ona czasu zakosztować rozkoszy wyobraźni i naśladowała raczej lub tłumaczyła, aniżeli tworzyła sama. Ale zaledwie zgniotła stanowczo i wypędziła Arabów, wznowiła zaraz dla własnej swojej uciechy tę uroczystość poetycką, którą inne europejskie narody nużyć się już zaczynały i która kończyła się właśnie we Włoszech ironicznym wdziękiem Aryosta i trywialnemi błazeństwami *Orlandina*, przez Limerna Pitoeco (Teofila Folengo). Poczekajmy jeszcze czterdzieści lat, a natchnienie bohaterkie tak zupełnie wyczerpie się u Włochów, że poeta poważny aż do mistycyzmu, Tasso, powróci bez wahania się do prawdziwie historycznych tradycji krucjaty, do ognistego zapału Godfryda de Bouillon. Ale za długim byłoby wyliczanie hiszpańskich romansów rycerskich i czarodziejskich, z czasu między Ferdynandem Katolickim a Filipem II, aż po przeddzień „Don Kiszota.“ Dość będzie wymienić najcelniejsze, z których kilka znajdujemy w katalogu bohaterów z Manchy.

W r. 1489 wyszła „Historja wróżki Meluzyny,“ w Tolozie, przedrukowana 1512 w Walencji, a 1526 w Sewilli. „Proroctwa czarodziejka

Merlina“ w Burgos, w 1408, a w Sewilli w 1500, wraz z „Poszukiwaniem św. Graala.“ W końcu XV w. ukazała się „Kronika tryumfu dziewięciu bohaterów Chwały,“ poświęcona królowi francuzkiemu Karolowi VIII. W tym dziwnym romansie pomieszani byli razem Jozue, Dawid, Judasz Machabeusz, Aleksander, Hektor, Juliusz Cezar, król Artur, Karol Wielki, Godfryd de Bouillon. Dodawano do nich jeszcze żywot Bertranda du Guesclin.“ W r. 1498 pojawiła się w Sewilli „Historja króla Wespazjana,“ a w r. 1509 w Burgos „Historja Roberta Diabła,“ której potem było mnóstwo wydań. „Poszukiwanie św. Graala“ obejmuje znów historję Lancelota i syna jego Galaza. „Florę i Blankę“ przedrukowywano aż po r. 1691. Za Izabelli i Ferdynanda napotykamy „Rycerza Marsindo, księcia konstantynopolitańskiego.“ Dwa znakomite rody pojawiają się za królów katolickich i ciągną się gęsboko w wiek XVI, a mianowicie ród *Amadysa z Gallii* i *don Florestana*, jego brata, oraz ród *don Palmerina z Oliwy*. Amadys, tak popularny w Hiszpanii, w czasach wcześniejszych nawet od pisarzy którym go przypisują, od Portugalczyka Vasco de Lobeira i Hiszpana Garcia Ordoñez de Montalvo, jest znów postacią pochodzenia francuzkiego. Istnieje egzemplarz Amadysa francuzkiego, który w r. 1265 należał do jednego z kanoników w Langres. Tłumacz francuzki Amadysa hiszpańskiego, Herberay des Essarts, twierdzi iż znalazł „kilka jego szczytków, pisanych odręcznie, w narzeczu pikardzkim.“

W samych tytułach wielu z tych romansów widać nieco dziwactwa i przesady, właściwych całej literaturze rycerskiej. Starożytności żydowskie, greckie i rzymskie, Wschód i Zachód, Konstantynopol, Rzym i Jeruzalem stoją tam obok siebie i mieszają się ze sobą; historia, geografia, prawdopodobieństwo, wszystko tam pogwałcone; najmniejszego jedném słowem nie dopatrzeć tam zmysłu krytycznego, i to w epoce rozwoju krytyki i polityki, w pełni renesansu, między Krzysztofem Kolumbem a Karolem V-m. W historyi rycerza Marsindo widzimy bohatera, stawiającego czoło u mostu w Konstantynopolu wszystkim paladynom greckim, na cześć księżniczki Lecydory, wysadzającego z siodła i zwyciężającego Garfira, króla Tessalii, i Piria, króla Argolidy. Ten nadmiar inwencji podobał się w średnich wiekach, które zawozone przez rzeczywistość, pocieszały się cudami. Ale epoka odrodzenia, która zaszczerpiła w Europie zmysł krytyczny, była dla legend bardzo niebezpieczną. Odtąd, w poezyi i w sztukach pięknych, tolerowano już tylko baśnie pogańskie, jako uświęcone przez klasycyzm. Tradycje rycerskie zachowano jedynie dla zabawki, i dlatego to posuwano je do absurdów. Tak zrobił Ariost. Boila teoria epepei nie jest fantazją ciasnego umysłu krytyka, lecz wyrazem poetyki nowożytnéj, począwszy od w. XVI. W ten sposób utworzyła się literatura nowa, poszukiwana i kierowana przez uczonych, przez wybredniów, wielce różna od dawnéj literatury ludowej. Znakomity historyk literatury hiszpańskiej, don José Amador de los Rios, widzi w tym objawie oznakę przesilenia społecznego, rozdział, w krainie spraw umysłowych, arystokracji od ludu (*Histor. crítica de la literat. españ.*, t. VII, p. 378). Pod arystokracją należy tu rozumieć zarazem szlachtę, która w Lombardyi i wicekrólestwie neapolitańskim odebrała włoskie wykształcenie, i ludzi uczonych hiszpańskie epoki odrodzenia, którzy ideami i dziełami rycerskiej przeszłości gardzili niemniej od uczonych téjże epoki we Francyi. Te wieki średnie, dodaje don José, które uczeni nazywali czasami barbarzyńskimi, tém droższymi stawały się dla klas niższych. We Francyi, około r. 1540, tak zwana „plejada,“ przez usta Joachima de Bellay odesłała z dumą na *Jeux floraux* do Tuluzy, to jest czytelnikom na prowincyi, legendy Stołu Okrągłego. Wśród tego głębokiego przeobrażenia myśli francuzkiej, jeden tylko Rabelais, książką swoją i językiem, ośmielił się przeszłość gallicką związać z czasami nowemi. Rzucił on zuchwale most nad przepaścią, która się nagle

otwarła między dwiema wielkimi epokami. Na nieszczęście prawie on sam tylko przeszedł po tym moście. Zdaje nam się, że takiz sam zamiar pojednania podjął w Hiszpanii Cervantes, przysposobności krytycznego cytowania książek don Kiszota.

### III.

*Multi vocati, pauci electi.* Wiele ich powędrowało z pólek, niewiele uchroniło się od ognia. Pierwszy pomiędzy wszystkimi, ojciec liczego potomstwa, Amadis gallicki, „doktor sekty przekletéj“ (*dogmatizador de una seta tan mala*), ocalał jednak, jako oryginalny typ czysto rycerskiego romansu. Synowie i wnuki jego: „Esplandian“, „Amadis grecki“, wylatują oknem. Następnie „Don Olivantes de Laura“ i jego kłamliwe wymysły—„Florismart z Hirkanii“, którego styl odznacza się tak cudowną płaskością—„Rycerz Platir“—„Rycerz krzyża“, idą za nim. Ale oto „Zwierciadło rycerstwa“, dobra tradycya francuzka, „Renaud de Montauban“ czcigodna kronika, z której czerpali Bojardo i Ariost: proboszcz starannie odkłada je na bok. „Tak zrobimy—powiada—ze wszystkimi tymi, którzy traktują o rzeczach francuzkich, z wyjątkiem jednak „Bernarda del Carpio“ i „Roncevaux.“ Mowa tu o dwóch romansach, wziętych z „Kroniki hiszpańskie“ i z „Kroniki“ Alfonsa X-o, w których sprzymierzeniec pogan, Bernard del Carpio, siecze zuchwale Rolanda w kawalki. Proboszcz, który smakuje w legendach francuzkich, skazuje na zatracenie ten fałszywy „Śpiw o Rolandzie.“ Ale ocala „Palmerina z Anglii,“ znakomity, według niego, utwór pewnego króla portugalskiego, naśladowanie starego „Amadisa gallickiego,“ przerabiane w następujących po sobie wydaniach, pod nazwiskami rozmaitych autorów, według don José de los Rios, znakomite w każdym razie sztuką w układzie, prawdą charakterów i dobrym smakiem. Przebacza „Tiranowi białemu,“ będącemu pasmem awantur, zarówno bezsensowych, jak zabawnych. W jednym dniu Tiran pokonywa w pojedynku książąt Burgundy i Bawaryi, królów polskiego i fryzjskiego; uwalnia Rodus od sultana Kairu i Stambuł od padyszacha tureckiego. Wdzięczny za to cesarz grecki, oddaje mu rękę córki swojej Carmesiny, z którą rycerz, dzięki damie imieniem Placeremivida, przepędził już był przedtém kilka chwil przyjemnych. Nawiasem, ofiaruje grzecznej duennie koronę jakiegoś królestwa afrykańskiego. Tutaj przynajmniej,—mówi proboszcz—ludzie żyją, jedzą i mówią naturalnie; rycerze śpiją i umierają w swoich izbach i piszą testamenty, jak wszyscy. Widziemy że krytyka u Cervantesa opiera się na rzeczywistéj tolerancyi. Według niego romans jest dobry, mimo nadzwyczajności osnowy, jeśli autor umiał uszanować prawdopodobieństwo charakterów i obyczajów. Jeśli zaś chce tylko bawić wyobraźnię czytelnika olśniewającymi i dowcipnemi fantazjami, jak na przykład Ariost, to powinien się okazać poetą niezrównanym i przetłumaczony na obcy język prozą, traci większą część swojej wartości. „Jeżeli napotkam Ludwika Ariosta w innym, nie we własnym jego napisanym języku—mówi proboszcz—nie daruję mu; ale po włosku cenię go bardzo wysoko.“

Biedne książki stosami zalegały dziedzińce; paliły się cudownie i niebawem niemiła woń *auto-da-fé* rozeszła się w mieszkaniu. Ale don Kiszot nie odzyskał rozsądku. Nie uzdrowia się umysł w, pałac książki. Największe nieszczęście było w tém, że rycerz całą swoją bibliotekę umiał na pamięć. Cóż to dla niego znaczyło, że te stare romanse, któremi tak rozkoszowali się nieuczenni ludziska w Hiszpanii, stały się kupą lotnego popiołu? Ideal, który w nich tkwił, pozostał w duszy bohatera z Manszy. Ci szaleńcy, żyjący w zachwycie jakiegoś wzniesłego widzenia, są może mędrkami, lub przynajmniej szczęśliwymi, a szczególnie warte jest mądrości. Don Kiszot, w dniu w którym pojął nicosć swoich przywidzeń, umarł—serce mu pękło.